TYDZIEŃ

Nr 25 (49) ROK II

22. VI. 1947

CENA 20 ZŁ



W NUMERZE: Tomasz Domaniewski, St. Grodzieńska, Karol Małcużyński, Leon Pasternak, Marek Sadzewicz, Antoni Tropiński

NASZA OKŁADKA



Rys. W. Siemiątkowski
Wianki

Podejrzana podróż



Evita Peron, małżonka dyktatora argentyńskiego, wybiera się w podróż do Europy. Pierwszym etapem jej podróży będzie Hiszpania. Senora Peron odwiedzi przede wszystkim generała Franco, następnie udaje się do Rzymu.

Podobno ma uzyskać audiencję u papieża i prosić go o udzielenie błogosławieństwa jej małżonkowi. Najbardziej jednak tajemnicza część zapowiedzianej podróży zaprowadzi Evitę Peron do księstwa Lichtenstein. W tym miniaturowym państewku mieszka obecnie niejaki Don Federico, którego prawdziwe nazwisko brzmi Fritz Mandl. Człowiek ten od roku 1938 zajmował się umacnianiem wpływów niemieckich w południowej Ameryce i eksportem broni niemieckiej do Argentyny Na początku roku bieżącego Don Federico powrócił do Europy i osiadł w Lichtenstein, ponieważ inne państwo nie chciało go przyjąć. A może dlatego, że w tym państwie mówią po niemiecku.

Psotny Antoni

Otrzymujemy na kartonie następujące zawiadomienie:

> Najserdeczniejsze podziękowania za pamięć i liczne życzenia imieninowe składa
> ANTONI PISARSKI
> Redaktor
> Dyrektor Biura Prasowego Rady Narodowej m. st. Warszawy, Prezes Kom. Sprawozd. Samorz., radny Rady Narod. m. st. Warszawy, radny D.R.N. Praga-Południe.

Moglibyśmy nie żałować tego marnotrawstwa papieru, gdyby p. Pisarski swoje podziękowania wysyłał istotnie osobom, które przesłały mu życzenia. Te kilka kawałków papieru nie robi wielkiej różnicy. Gorzej, że on rozsyła swoje podziękowania i tym, którzy — tak jak my — życzeń mu nie składali. Takie podziękowanie można drukować i w dwudziestu milionach egzemplarzy. A na to już papieru naprawdę szkoda.

Nowe czasy?

PRZEDZIWNE wieści przynosić zaczyna prasa zagraniczna o niektórych wydarzeniach w Ameryce, kraju swobód demokratycznych i wolności sumienia..

Dowiedzieliśmy się np. ostatnio, że Charlie Chaplin, długoletni ulubieniec Ameryki i całego świata, człowiek, który położył wielkie zasługi dla rozwoju filmu amerykańskiego, popadł w pewnych kołach Stanów Zjednoczonych w niełaskę. Przedstawiciel Partii Demokratycznej w Izbie Reprezentantów Rankin zażądał wydalenia ze Stanów Zjednoczonych Charlie Chaplina, którego tryb życia nazwał on „szkodliwym i gorszącym". Chodzi o krytycyzm artysty w stosunku do nierówności społecznych, jakie panują w Ameryce pod wieloma względami.

Chaplin jest obywatelem brytyjskim i Rankin domaga się odesłania artysty do jego kraju macierzystego. Żądanie to pozostaje w związku z przedsięwziętymi obecnie, na podstawie dekretu o zagrożeniu interesom państwowym, krokami, mającymi na celu usunięcie z życia publicznego ludzi o przekonaniach postępowych. Filmy, w których występuje Chaplin, mają być wycofane z ekranów amerykańskich, gdyż według słów Rankina, „działają demoralizująco na młodzież".

Podobny los zagraża również znanemu aktorowi filmowemu Edwardowi Robinsonowi oraz Dorothy Parker, których proces o zbyt lewicowe, szkodliwe poglądy, ma podobno odbyć się w niedługim czasie.

tak i nie

Geografia trudna sztuka

NIE POSIADA jej prawdopodobnie osoba, która opracowywała w dniu 14 bm. audycję radia londyńskiego w języku angielskim o godzinie 20 min. 30, zatytułowaną „England Calling Europe". W audycji tej podano wiadomość o otwarciu Muzeum w Oświęcimiu w dziale informacji pochodzących z „Germany" — Oświęcim nazwano zaś „Auschwitz"!

Byłoby pół biedy, gdyby Oświęcim leżał na Ziemiach Odzyskanych — nowa, polska nazwa mogłaby być wówczas jeszcze w „BBC" nieznana.... A może chciano przez to zasugerować, iż przydałoby się, żeby gdzieś w „Germany" powstało podobne Muzeum dla pamięci niektórych świeżo upieczonych demokratów niemieckich?

Jeśli tak, akceptujemy w całej pełni i wybaczamy „BBC" geograficzne przejęzyczenie się.

Dziwy finansowe

TURCJA według twierdzenia swoich polityków jest krajem ubogim, tak ubogim, że Stany Zjednoczone uważały za potrzebne udzielić temu państwu bardzo poważnej pożyczki. Jeżeli jednak przyjrzeć się bliżej budżetowi państwa tureckiego, to wyjdą na jaw zdumiewające rzeczy. Turcja nie ma pieniędzy na szkolnictwo, nie ma ich nawet na rozbudowę dróg komunikacyjnych, kolei jest mało, a drogi znajdują się w stanie opłakanym. Jednak na te cele rząd przeznaczył zaledwie około dwóch milionów dolarów, natomiast budowa wielkiego mauzoleum dla Kemala Ataturka pochłonie w najbliższym czasie 8 milionów dolarów.

Turcy, zdaniem swoich obecnych władców, nie powinni się kształcić, nie powinni podróżować po kraju; wolno im będzie conajwyżej raz w życiu przyjechać do Ankary dla podziwiania wspaniałego pomnika.

Brak rąk do pracy w W. Brytanii

MINISTER Dalton w swoim niedawnym przemówieniu w Edenburgu ogłosił dane dotyczące stanu zatrudnienia w głównych gałęziach przemysłu angielskiego. W 1939 roku cyfra pracowników, zatrudnionych w tych gałęziach wynosiła 662.000 osób — obecnie spadła do 562.000 osób. W związku z tym minister wezwał kobiety brytyjskie do zgłaszania się do pracy w przemyśle. Kobiety nie okazują jednak do tego zbyt wiele chęci — zwłaszcza po ostatniej debacie w Izbie Gmin, gdzie odrzucono projekt, żądający zrównania płac kobiet i mężczyzn za wykonywanie tej samej pracy.

Kosztowna pomoc

PISMO francuskie „La Liberation" z dn. 16 maja podaje wiadomość, iż za kulisami prowadzone są przez niektóre sfery francuskie rokowania, mające na celu zawarcie nowych układów ze Stanami Zjednoczonymi. Według informacji dziennika, Stany Zjednoczone wzamian za pierwszą transzę kredytu w wysokości 1 miliarda dolarów, domagają się:

1) Kontroli użytkowania kredytów, t. j. prawa bezpośredniego wglądu w realizację planu gospodarczego Monneta,

2) utworzenia „poolu" — spółki francusko - amerykańskiej dla zagospodarowania terytoriów zamorskich — a przede wszystkim posiadłości francuskich w Afryce północnej i zachodniej,

3) podpisania układów, przewidujących założenie baz powietrznych w Afryce dla linii lotniczych Stanów Zjednoczonych z „prawem wzajemności" dla Francji.

Ustawa antyrobotnicza w USA



Dookoła projektu ustawy antyzwiązkowej w USA toczy się obecnie zacięta walka. Kongres ustawę tę uchwalił, nie podpisał jej jednak prezydent Truman, wobec czego nie stała się jeszcze prawem. Związki zawodowe nawołują Prezydenta, by skorzystał z prawa veta w stosunku do tej ustawy. W całej Ameryce rozpoczęły się protestacyjne strajki. Co oznacza ta ustawa dla amerykańskiego świata pracy?

1) Ustawa zakazuje przyjmowania do pracy przez przedsiębiorców wyłącznie członków związków zawodowych, co obowiązywało dotychczas i wzmacniało poczucie solidarności robotników.

2) Udziela rządowi prawa odraczania większych strajków na 80 dni, przez co daje możność przedsiębiorcom poczynienia kroków, mających na celu złamanie strajku.

3) Uznanie za nielegalne strajki, związane z jurysdykcją związków zawodowych.

4) Wymaga od związków publikowania sprawozdań ze swej działalności.

5) Pozbawia każdy związek zawodowy prawa zawierania umów zbiorowych, jeżeli kierownicy związku podejrzani są o lewicowe przekonania.

6) Zakazuje tworzenia przy związkach funduszów pomocy chorym i potrzebującym pracy — oprócz tych, które istniały do 1 czerwca 1946 roku.

Ostrze na ostrze

PRZYKRY ŻART

W ostatnim numerze „Przekroju", datowanym 13—22 czerwca, przewodnik działu podróży „Naokoło Świata" osiadł w swych wędrówkach na mieliźnie. Przydarzył mu się mianowicie pewien nieładny, bardzo płytki dowcip.

Otóż na stronie 3-ciej widnieje fotografia tancerki w niezwykle efektownej pozie i stroju, pozwalającym ocenić dość dokładnie jej przyrodzone wdzięki kobiece. Jak wynika z podpisu, pewna angielska nauczycielka postanowiła wykorzystać letnie ferie w celu zdobycia sławy artystycznej i dodatkowego zarobku, tańcząc w jednym z londyńskich teatrów w sztuce „Salome" Oskara Wilde „taniec siedmiu welonów". „Taniec ten polega na obnażaniu się tancerki do granic, dozwolonych przez Lorda Majora Londynu" — pisze „Przekrój". Sądząc ze zdjęcia, Lord Major jest dosyć wyrozumiały...

Podobne wypadki nie zdarzają się chyba jednak zbyt często w W. Brytanii, skoro opisany wyżej występ wzbudził zainteresowanie prasy i fotografa. Nie każdy murarz spada z rusztowania, mimo iż prasa o tym niejednokrotnie wspomina, — nie każda nauczycielka w Anglii tańczy na scenie.

Pomysł ten spodobał się wszakże naszemu koledze redaktorowi z „Przekroju". W tej samej notatce wystąpił on z propozycją, aby nasze młode nauczycielki zainteresowały się wyżej opisanym sposobem zarobkowania, który łączy „przyjemność" z „pożytkiem". „Przekrój" pisze: „Oczywiście winny one zaczynać od tańczenia przed radą szkolną, aby zostało komisyjnie stwierdzone, czy mają co pokazywać dla dobra sztuki i oświaty".

A teraz przestańmy na chwilę żartować i zastanówmy się poważnie. Żartować można. Żartować trzeba. Cóż by było warte życie bez uśmiechu? Ale dobry humor musi mieć pewną granicę, która nazywa się poczuciem taktu. Granice te przekracza się, jeśli wystawia się na pośmiewisko np. czyjąś ułomność, czyjąś troskę lub niedolę, jeśli żartem sprawia się komuś niezasłużoną przykrość. Z pewnością nie brak poczucia humoru sprawił, iż jedna moja znajoma, nauczycielka, niemal ze łzami w oczach, po przeczytaniu notatki w „Przekroju", wypowiedziała na ten temat bardzo dużo, bardzo gorzkich słów.

I miała rację. Problem poziomu życiowego naszego nauczycielstwa jest jeszcze niestety zbyt bolesną, nierozwiązaną sprawą, by ktoś lekkomyślnie stroił sobie na ten temat frywolne dowcipy.

Nie byłoby na miejscu wymienianie w tym felietonie zasług nauczycielstwa i niewspółmiernych do tych zasług — zarobków. O tym kolega z „Przekroju" sam dobrze wie. Nasze nauczycielki mają w czasie wakacji z pewnością inne zmartwienia, niż zbieranie laurów przez proponowane w „Przekroju" rozbieranie się na scenie.

Wyobraźmy sobie teraz jeszcze dodatkowo wpływ podobnie niesmacznych dowcipów na młodzież szkolną, która przecież także czyta „Przekrój", a w stosunku do ciała profesorskiego ma zazwyczaj swoiste, często lekkomyślnie okrutne, przejaskrawione usposobienie do drwiny.

Co zaś dotyczy rady szkolnej, wysunięty przez kolegę z „Przekroju" projekt nowego zakresu kompetencji nie znajdzie chyba aprobaty w Ministerstwie Oświaty... Dotychczas rady szkolne zajmowały się oceną stopnia dojrzałości umysłowej uczniów. Jeśli ktoś ma pstro w głowie, rada pozostawia go na drugi rok w tej samej klasie. Jaka rada szkolna opiekowała się autorem wyżej wymienionej notatki? A może on w ten sposób mści się na swoich dawnych wychowawcach?

Żart „Przekroju" jest przykry. „Przekrój" nie powinien stawać się przykrojem.

A V I S

tak i nie
STRONA 4

Marek Sadzewicz

WALKA O CHLEB POWSZEDNI

WALKA z drożyzną i spekulacją wysuwa się w chwili obecnej niewątpliwie na czoło zagadnień absorbujących wysiłki państwa i zorganizowanego społeczeństwa. Chodzi przecież o udostępnienie szerokim masom artykułów pierwszej potrzeby, a więc krótko i po prostu — chodzi o umożliwienie bytu, o chleb dla ludzi.

O ile samo zagadnienie jest jasne i nie nasuwa żadnych wątpliwości, o tyle sposób jego rozwiązania jest przedmiotem gorącej dyskusji w prasie, Sejmie, na zgromadzeniach, w partiach politycznych, we wszelkich zresztą komórkach życia społecznego i politycznego, związanych swoją działalnością z kwestiami natury gospodarczej.

W tym momencie ważnym, decydującym w dużej mierze o dalszym układzie stosunków w Polsce nie wolno poprzestać na szermowaniu hasłami, na demagogicznym spłyceniu kwestii, które rozwiązane być muszą nie na drodze enuncjacji, oświadczeń i odezw, a tylko na drodze faktycznych osiągnięć i rzeczywistych efektów.

Tu musimy dotknąć jednej z bardziej ważkich przyczyn wewnętrznych trudności gospodarczych, o których zazwyczaj wstydliwie i niesłusznie się milczy. Powiedzmy sobie śmiało. Jedną z przyczyn hamujących życie gospodarcze jest wciąż jeszcze psychoza niepewności stosunków. Było to zjawisko nieuniknione w pierwszym okresie tworzenia się nowej rzeczywistości. Przeżyliśmy okres rewolucji, która z natury rzeczy musiała obalić wiele istniejących dotychczas urządzeń i zachwiać wieloma spośród obowiązujących dotychczas zasad.

Zarówno reforma rolna, jak dekret o nacjonalizacji większego przemysłu były aktami rewolucyjnymi. Żeby wprowadzić nowy porządek, trzeba było najpierw zwalić stary. Ale właśnie w imię **nowego porządku**. A więc porządku. Czegoś, na czym można się oprzeć. W imię nowego prawa. **Ale prawa.**

To nowe prawo zakreśla między innymi granice działania organów powołanych do walki ze szkodnictwem gospodarczym.

NOWY ustrój, oparty na gospodarce trójsektorowej zakreślił każdemu z sektorów granice i kierunek ich działalności. Normy rozgraniczające stanowią jednocześnie kartę wolności i inicjatywy działania w zakreślonych granicach. Należy tylko baczyć, żeby te granice nie były przekraczane, żeby prawo nie było łamane.

Stabilizacja życia gospodarczego uzależniona jest od poczucia trwałości stosunków, bezpieczeństwa prawnego, od ścisłego określenia co wolno, a czego nie wolno. Cały szereg aktów ustawodawczych, jak na przykład normy regulujące sprawę budownictwa prywatnego i społecznego, przyczyni się niewątpliwie do ożywienia życia gospodarczego, produktywnego zaangażowania kapitałów dzisiaj kryjących się jeszcze w zakamarkach gospodarczego „podziemia".

WSPÓŁDZIAŁANIE czynnika społecznego z państwem w dziele uzdrowienia życia gospodarczego nie kończy się na działalności komisji kontrolnych czy innych organów powołanych do tępienia spekulacji. Tak czy inaczej działalność tych organów nie wychodzi poza zakres środków administracyjnych. Niemniej ważną i bardziej długofalową dziedziną działalności czynnika społecznego będzie jego współpraca w samej organizacji rynku.

ZADANIA tego dokonać może oczywiście czynnik społeczny, zorganizowany i wyposażony w odpowiednie środki. Nie potrzeba go tworzyć, czy organizować, bo on już istnieje. W sytuacji, gdy toczy się walka o chleb powszedni dla świata pracy, centralne miejsce przyznane być winno spółdzielczości, spółdzielczość bowiem, zgodnie ze swą naturą i z zasadami demokratycznej gospodarki mieszanej, zajmuje główne miejsce w organizacji bezpośredniego zaspokajania potrzeb świata pracy. Ogromna większość społeczeństwa widzi w ruchu spółdzielczym najskuteczniejszą broń przeciw spekulacji. W obecnej chwili szczególnego napięcia, zadeklarowała z trybuny sejmowej akcję, mającą na celu dostarczenie pracującym w mieście chleba i żywności.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ polska zdołała w ciągu niespełna dwóch lat zająć trzecie miejsce wśród innych krajów świata. Posiada potężny i wypróbowany aparat dystrybucyjny. Aparat ten potrafił zorganizować się i zdał egzamin już w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości. Jego oddziaływanie na rynek jest właśnie gospodarcze, a więc istotnie skuteczne i długofalowe. Szereg akcji interwencyjnych przeprowadzonych przez spółdzielczość wykazało, iż najskuteczniejszym środkiem przeciwko spekulacji jest zdrowa konkurencja. Jest to środek nie do zwalczenia.

Rzecz jasna, iż warunkiem skutecznego oddziaływania jest posiadanie odpowiednich środków. Spółdzielczość, która wykonała dla państwa wiele akcji zleconych, nie wdzięcznych i trudnych, ale koniecznych, może też domagać się postawienia do jej dyspozycji środków umożliwiających wykonanie zadań, które przypadły na dzień dzisiejszy. Konieczne są więc kredyty na spółdzielcze domy towarowe, których kalkulacja, jak wykazały doświadczenia, jest niższa i oszczędniejsza, niż jakichkolwiek innych. Słusznie też domaga się spółdzielczość wykonania dekretu z 3-go stycznia 1945 roku i przekazania jej przyznanych w tym dekrecie ośrodków przemysłowych, a mianowicie ośrodków przemysłu spożywczego. W dzisiejszym stanie rzeczy produkcja spółdzielczych zakładów przemysłowych, wynosząca zaledwie niewielki procent ogólnej produkcji spożywczej, nie może skutecznie oddziałać na rynek.

SPRAWA nie kończy się na walce bezpośredniej ze spekulacją i nawet na racjonalnej organizacji rynku.

W myśl prawdy, że z próżnego i Salomon nie naleje, musimy z jednej strony ograniczyć się do tych dóbr, które posiadamy i zapewnić sprawiedliwy rozdział naszego „bochenka chleba", z drugiej, drogą oszczędności i podniesienia produkcji starać się o pomnożenie tych dóbr.

Już dzisiaj wiadomo, że nie wystarczy nam własnego zboża. W ciągu najbliższego roku skazani będziemy na import. Źródła importowe są zapewnione, ale przecież sytuacja zmusza nas do daleko idących oszczędności, do takiego rozdziału chleba, iżby dla wszystkich wystarczyło.

Należy przewidzieć zarządzenia reglamentacyjne zawsze konieczne, kiedy ilość dóbr jest niedostateczna.

Trzeba będzie wzmóc i uporządkować podaż artykułów przemysłowych na rynek. Usprawnić produkcję przemysłową. Że oszczędności w dziedzinie produkcji przemysłowej są możliwe świadczy chociażby fakt, iż obciążenie aparatem administracyjnym w przemyśle państwowym w stosunku do ogółu zatrudnionych dochodzi do 30%, podczas kiedy w przemyśle spółdzielczym nie przekracza 10%. Stosunek administracji do stanu zatrudnienia jest jednym ze wskaźników stopnia produktywizacji przedsiębiorstwa. Dotychczas nie została jeszcze przełamana tendencja przedsiębiorczości państwowej do rozbudowywania zbędnej biurokracji.

KONKLUDUJĄC, walka o uzdrowienie życia gospodarczego prowadzona być musi przy użyciu wszystkich środków, bezpośrednich i pośrednich. Przez tępienie spekulacji i podziemia gospodarczego, przez organizację rynku, przez redukowanie wszelkich przerostów, oszczędność, podniesienie produkcji i wydajności pracy.

Odbudowa! Odbudowa!



Fot. Film Polski

W fabryce im. gen. Świerczewskiego (dawniej karabinowa) na Woli w Warszawie, wznoszą ściany hali maszyn.

Symptomatyczne nietakty

RZĄD angielski uważał za właściwe wysłać oficjalnego przedstawiciela na pogrzeb Władysława Raczkiewicza. Rząd polski zareagował na to we właściwy sposób.

Ale nietakty są zaraźliwe. Sądząc z doniesień prasowych, panuje obecnie epidemia takich niewłaściwości. Wskutek przypadkowego zbiegu okoliczności, a może wskutek celowego zamiaru były król włoski, Humbert, znalazł się w Aleksandrii właśnie w czasie wizyty amerykańskiej floty wojennej. Zaproszono go (coprawda incognito) na bankiet, w którym brał udział dowódca eskadry, wiceadmirał Bieri i... wybitni przemysłowcy amerykańscy i zachodnioeuropejscy.

Czy wolno powiedzieć, że towarzystwo było małe, ale dobrane?

Por. Filip Mountbatten

W ostatnim numerze podaliśmy, że Filip Mountbatten, przypuszczalny książę-małżonek Elżbiety, następczyni tronu angielskiego, jest synem Lorda Mountbattena, wicekróla Indii.

W rzeczywistości Filip jest jego siostrzeńcem, synem Lady Alice Mountbatten i Księcia Greckiego. Książę Filip kształcił się w Anglii i nawiasem mówiąc, nie odznaczał się specjalnymi zamiłowaniami do nauki, za to był wybitnym sportowcem i nawet zdobył pierwszą nagrodę w zawodach lekkoatletycznych. W szkole zachowywał się spokojnie, nie inicjował figlów, ani kawałów. W przedstawieniach amatorskich grał drugorzędne rólki, na przykład Malcolma — syna Macbetha.

W szkole marynarki angielskiej Filip wykazał się wybitnymi kwalifikacjami na marynarza, co zresztą jest zgodne z tradycją rodziny jego matki. Podczas raidów szkolnych książę Filip nieraz pełnił funkcje kucharza, gdyż nawet podczas najgorszej niepogody nigdy nie chorował na morzu i doskonale znosił aromaty kuchenne. Koledzy i rybacy, żyjący w okolicy szkoły, otaczali Filipa uznaniem za jego niewątpliwą odwagę fizyczną i dzielność.

W marcu br. Książę Filip grecki otrzymał obywatelstwo angielskie.

„Times" zamieścił o tym krótką informację: „Porucznik Filip Mountbatten z Królewskiej Marynarki Angielskiej (dawniejszy książę Grecji i Danii) otrzymał obywatelstwo angielskie. Na mocy istniejących przepisów stracił on wszelkie prawa do poprzednio posiadanych tytułów".

Na kilka miesięcy przedtem, prasa angielska ogłosiła ankietę, czy obywatele Wielkiej Brytanii opowiadają się za małżeństwem następczyni tronu z Księciem Filipem greckim. Opinia publiczna była podzielona: kobiety głosowały przeważnie „za", mężczyźni byli przeciwni z przyczyn zasadniczych — protestowali przeciw cudzoziemcowi.

Obecnie ta przeszkoda nie istnieje. Książę Grecji i Danii jest po prostu porucznikiem Filipem Mountbatten pozostającym w służbie Marynarki Jego Królewskiej Mości.

Zbyt pojętni uczniowie

GRECJA otrzymała nowy zastrzyk dolarów, który w imię ideałów demokracji kapitalistycznej ma utrzymać przy władzy jeden z najbardziej reakcyjnych rządów w Europie. Rząd Demetriosa Maximosa zabrał się energicznie do pracy. Jak wygląda demokracja grecka, przekonał się na własnej skórze korespondent „New York Herald Tribune". Dziennik ten, reprezentujący opinię republikańską, należy do najbardziej poczytnych i poważanych gazet amerykańskich. To nie wystarczyło jednak, aby dziennikarz, piszący dla tego pisma, uzyskał pozwolenie na zwiedzenie Krety. Minister Porządku Publicznego, Napoleon Zervas, sprzeciwił się kategorycznie podróży ciekawskiego dziennikarza. Dzienniki prorządowe, wychodzące w Atenach, karnie stanęły po stronie ministra, uznając, że dziennikarz amerykański jest niebezpiecznym komunistą, który miał dostarczyć funduszów przeznaczonych dla powstańców.

Skończyło się, oczywiście, interwencją amerykańskiego posła, ale sam fakt dowodzi dobitnie, jak gorliwymi wyznawcami zasad demokracji są władcy Grecji, nawet w stosunku do zupełnie konserwatywnych Amerykanów.

tak i nie

Pocieszające wiadomości

W powodzi niepokojących doniesień prasowych o trudnościach wewnętrznych, przeżywanych przez Francję, dwie wiadomości, świadczą o zdrowym instynkcie narodowym Francuzów i o wielkich możliwościach odzyskania dawnej świetności, jaka kryje się w odradzającej się energii zaprzyjaźnionego z Polską państwa.

Jak wiadomo, najpoważniejszą troską Francji był całkowity zanik przyrostu ludności. W tym względzie niedawno ogłoszone statystyki za rok ubiegły przyniosły prawdziwą rewelację. W 1946 roku we Francji urodziło się 835.000 dzieci. Jest to najwyższa cyfra urodzin w wiekowej historii Francji. Zmarło zaś w roku 1946 tylko 542.000 Francuzów. Nadwyżka prawie 300.000 urodzin — to dobry omen dla Francji.

Również na froncie gospodarczym można zanotować posunięcia, które niewątpliwie wpłyną na wzmocnienie Francji. Przed kilku tygodniami upaństwowione zakłady przemysłowe zamówiły w Stanach Zjednoczonych w firmie „Westinghouse" najnowocześniejsze elektryczne urządzenia dla wysokich pieców za sumę 7.500.000 dolarów. Jest to największe zamówienie tego rodzaju, jakie zostało dokonane w Ameryce.

Jeszcze o procesie Pohla

„TYDZIEŃ" był bodaj jedynym pismem, które zwróciło uwagę na toczący się od szeregu tygodni w Norymberdze proces Pohla, szefa wydziału administracyjnego RSHA Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, któremu podlegały wszystkie obozy koncentracyjne. Pohl odpowiedzialny był za systematyczną eksterminację więźniów przez niedostateczne wyżywienie i nadmierną pracę.

W czasie procesu zaszedł wypadek godny uwagi. Pohl przyznał się do odpowiedzialności za likwidację ghetta warszawskiego. Oddziały SS, które dokonały eksterminacji Żydów warszawskich, podobnie jak i te, które zbudowały komory gazowe i krematoria w Oświęcimiu, działały z jego rozkazu.

Ciekawe, czy gen. Stroop, który niedługo stanie przed sądem polskim jako wykonawca rozkazów Pohla, będzie się powoływał na to, że był tylko bezwolnym i zastraszonym narzędziem?

Jak się robi nastrój

EUROPA nie może się nadziwić stosunkowi Amerykanów do świata pracy, a w szczególności do Związków Zawodowych. Robotnicy amerykańscy muszą staczać zaciekłe walki przeciwko zamierzonemu wprowadzeniu wstecznego ustawodawstwa pracy.

Z tego względu warto spojrzeć za kulisy i zobaczyć, jak przemysł amerykański urabia opinię. Związek Przemysłowców Amerykańskich (NAM) prowadzi ożywioną akcję prasową. Szef tej kampanii, Parkes oświadczył publicznie, że Związek Przemysłowców umieszcza stale odpowiednie ogłoszenia w 73 wielkich dziennikach o łącznym nakładzie — 23.500.000 egzemplarzy, oraz w 92 mniejszych dziennikach. Biuro prasowe przygotowało od 1 stycznia roku bieżącego 10 artykułów, które zostały zamieszczone przez 5.500 tygodników. Poza tym umieszczono 13 nowel, 8 opowiadań i 6 artykułów wstępnych, oraz 10 karykatur o tendencjach antyrobotniczych. W programie wielkiego towarzystwa radiowego „American Broadcasting Corporation", nadawanym przez 113 stacji, zakupiono czas na nadawanie tygodniowej rewii również o tendencjach antyrobotniczych. Związek Przemysłowców wydaje własnym sumptem cztery periodyki, rozsyłane bezpłatnie, a mianowicie: „Program Notes" — dla 40.000 stowarzyszeń i klubów kobiecych, „Understanding" (Porozumienie), rozsyłane dla 20.000 duchownych, „Farm and Industry" (Rolnictwo i Przemysł), które otrzymują bezpłatnie farmerzy i wreszcie „Trends" (Prądy), przeznaczone dla 40.000 nauczycieli.

Przemysłowcy amerykańscy mówią, że to kosztuje dużo, ale się opłaca.

Konfetti...

INFLACJA chińska stała się przedmiotem niezliczonych żartów, choć zainteresowanych nie nastraja ona bynajmniej pogodnie. W chwili zakończenia wojny z Japonią kurs dolara amerykańskiego wynosił 500 dolarów chińskich, obecnie sięga już 200.000. W maju rząd gen. Czang-Kai-Szeka wycofał z obiegu wszystkie banknoty wartości poniżej 500 dolarów i wypuścił nowe bardzo wielkie odcinki.

Nazajutrz na ulicach Szanghaju śmieciarze i dzieci zbierali stosy kolorowych drobnych banknotów chińskich, porywanych przez wiatr niczym konfetti. O nowych banknotach mówiono złośliwie, że są jak cały rząd generalissimusa Czang-Kai-Szeka — czekami bez pokrycia.

Walka o stalownie

W Anglii toczy się od dłuższego czasu walka o plan nacjonalizacji przemysłu stalowego. Nie ma jeszcze mowy o uspołecznieniu tej podstawowej gałęzi gospodarki narodowej, stanowiącej główny klucz do potęgi ekonomicznej Anglii, ale Partia Pracy postanowiła dotrzymać swego przyrzeczenia, danego w okresie przedwyborczym i opracować przynajmniej dokładny projekt działania. Wywołuje to, oczywiście, sprzeciw ze strony konserwatystów, sprzymierzonych z baronami przemysłowymi.

Labourzystowska „Tribune" przystąpiła do kontrataku, wykazując, że ci, którzy bronią się przed wywłaszczeniem na rzecz państwa, umieją doskonale wywłaszczać całe społeczeństwo na swoją rzecz. Przy czynnej współpracy zainteresowanych banków stalownie angielskie dokonały w latach 1926—1935 redukcji nominalnej wartości akcji. Wartość nominalna akcji, za którą akcjonariusz zapłacił 1 funt, redukowano do połowy, tj. do 10 szylingów, do 5 szylingów do 2 szylingów, a w pewnych wypadkach nawet do 6 pensów. Dzięki tym manipulacjom właściciele akcji tzw. uprzywilejowanych, to znaczy jedynych, mających prawo głosu, przysporzyli sobie od 50 do 97,7 procent funduszów inwestowanych przez drobnych ciułaczy.

Można ująć to w formułę arytmetyczną: moralność hotentocka = moralności kapitalistycznej.

Kina telewizyjne

W szczęśliwych krajach, w których telewizja nie należy do rzeczy, o których można jedynie czytać w gazetach, a które nadają nawet całe programy telewizyjne, przystąpiono do rozważań na temat możliwości spopularyzowania telewizji. Odbiorniki telewizyjne są niezmiernie drogie i nie przewiduje się możliwości produkowania masowego tanich aparatów. W Anglii, gdzie telewizja jest dosyć zaawansowana, powstał projekt urządzenia publicznych sal pokazowych, a więc czegoś w rodzaju kinematografu telewizyjnych.

Przyszłość tego projektu zależy w dużej mierze od tego, czy koncesje otrzyma radio brytyjskie, czy brytyjski przemysł filmowy.

Z przeszłości królewskiej

NOWY król grecki Paweł I nie cieszy się zbyt wielką popularnością. Trudno ustalić, jakie względy zadecydowały o tym, ale przypuszczalnie okoliczność, że nowy monarcha mówi lepiej po niemiecku niż po grecku ma również swoje znaczenie.

Za czasów, gdy Grecją rządził po dyktatorsku generał Metaxas, wzorujący się na wiadomych przykładach, obecny król należał do faszystowskiej organizacji młodzieży E.O.N.; członkowie tej organizacji składali następującą przysięgę: „Wierzymy w jedynego przywódcę, wodza i zbawcę narodu, natchnione go i zesłanego przez Boga, twórcę historii narodowej, ojca młodzieży greckiej i wspaniałego bohatera — Jana Metaxasa".

Dobrodziejstwa pokoju

JAK podaje „La Marseillaise", dobrodziejstwa pokoju najlepiej można poznać z następujących danych:

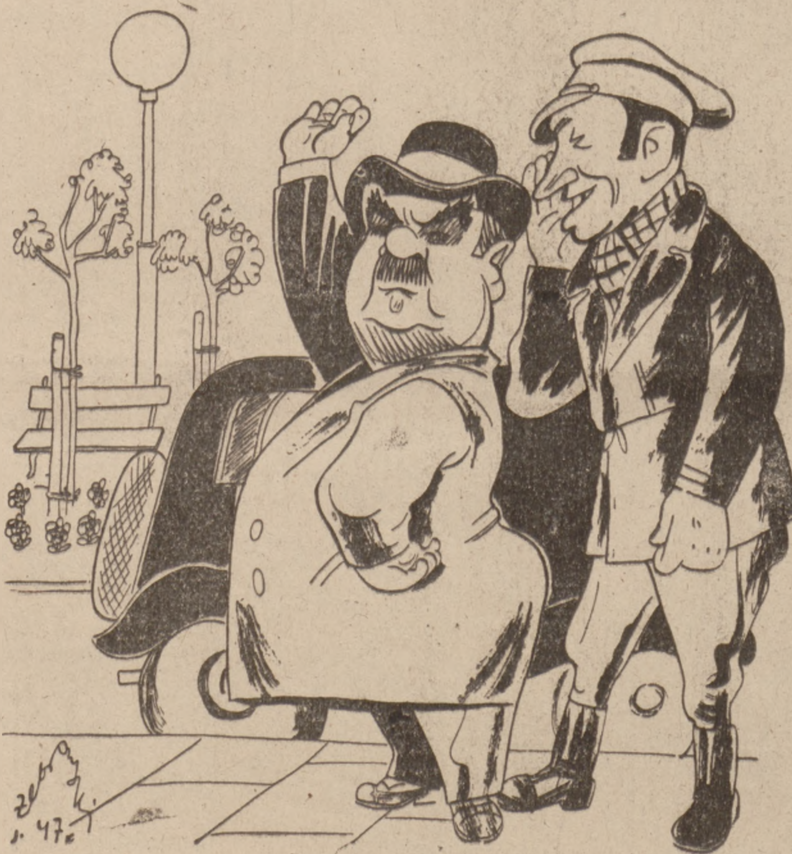
Wielka Brytania: 120.000 żołnierzy w Palestynie (w r. 1939 było ich 5.000); 60.000 żołnierzy w Egipcie (w r. 1939 było ich 10.000).

15.000 żołnierzy na Malcie (w r. 1939 było ich 3.000).

Stany Zjednoczone: 1.570.000 żołnierzy, 766.000 marynarzy.

Związek Radziecki: Zredukowano budżet wojskowy o połowę

9.VI — 9.VII. MIESIĄC CZYSTOŚCI W WARSZAWIE



Rys. Julian Żebrowski

Prezydent Tołwiński: Jak tutaj czysto. Dumny jestem z oczyszczonej Warszawy.
— Ależ panie prezydencie, my jesteśmy w Poznaniu.

Tomasz Domaniewski

Uśmiech z dalekich dróg

...zahamowałem gwałtownie... Na szosie stała jakaś postać i melancholijnie kiwała wzniesionym w górę kciukiem, co na całym świecie oznacza prośbę o podwiezienie. Nudziło mi się potwornie, zapadała noc, byłem sam w jeepie, a niedobrze jest jechać w długą drogę nocą samemu... Zaopatrzony w tnące ciemność światła reflektorów, kierowca zasypia, nie wiedząc nawet kiedy. — Wezmę pasażera, — zadecydowałem — będzie przy najmniej z kim z butelki pociągnąć.

— Do you can give me a lift? — niespodziewanie zapytał po angielsku głos kobiecy i w mroku zamajaczyła sylwetka w wojskowym mundurze z ręką przyłożoną do czapki.

— Why not, will you sit down — odrzekłem gościnnie, a w duchu zlekka zakląłem: — Psiakrew, znowu jakaś zwariowana aliantka, włócząca się po nocy... — No, ale nie wypadało już wyrzucać jej z wozu. — Where are you going? — zapytałem.

— To Schweningen...

— O Key!

Ruszyłem i znowu monotonnie huczał motor, wiatr trzepotał płócienną budą i gumy piszczały na zakrętach... W niewesołym byłem nastroju. Wyjeżdżając, pokłóciłem się śmiertelnie z Johnnym, na dwóch stacjach po drodze zabrakło benzyny, przepity byłem w najnieprzyjemniejszy w świecie sposób, no i ta perspektywa samotnej jazdy do Paryża... Kawał drogi z Insbrucku. Jakoś życzliwiej pomyślałem o mojej przypadkowej pasażerce. W każdym razie nie będą sam. — No, ale ma kobieta szczęście, złapać tak w nocy „lifta" do samego domu, to się nieczęsto zdarza. Mimowoli kątem oka spojrzałem na towarzyszkę. Znad podniesionego kołnierza palta powiewały na wietrze kosmyki włosów. — Ki diabli?... — zerknąłem uważniej. No tak, mundur był angielski, a na ramieniu błyszczały trzy litery: ATS... Cóż na Boga robi samotna Angielka w środku amerykańskiej strefy?

— Are you British? — zapytałem, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

— No.

— American?...

— No.

Odpowiedź była jeszcze bardziej zniechęcająca. Wzruszyłem ramionami. — Nie chcesz gadać to się wypchaj, — pomyślałem zły trochę na swój brak taktu i przez zęby zacząłem pogwizdywać kujawiaka. Nagle poczułem na sobie wzrok mojej zagadkowej ATS-ki.

— And your are from Navy — zagadnęła mnie niespodziewanie.

— Yes — odburknąłem.

— American?

— No.

— British?

— No — uciąłem krótko, radując się w duchu niewinną zemstą.

Zamilkła. Nadjeżdżający z naprzeciwka samochód oświetlił na chwilę ją i mnie. Znowu rzuciłem ukradkowe spojrzenie. Pęd wiatru odchylił kołnierz palta i ujrzałem twarz... Nie, czyżby... Po tylu latach znowu tak samo... O mało się nie zderzyłem z mijającym mnie wozem. Gwałtowny skręt kierownicą, skowyt opon i znowu ciemno... Do taktu migających drzew wracały dawne chwile... Trzydziesty dziewiąty rok... Niesamowity wrześniowy bałagan i niezapomniana mimo wszystko włóczęga. Nocą padł Brześć i nie było już czego bronić... Darłem się jak zwariowany na południe... i wtedy...

— Inga... — powiedziałem cicho — ...Co z tobą?

Początkowo myślałem, że nie dosłyszała, albo że się omyliłem. Spojrzałem i dostrzegłem, że patrzy na mnie z natężeniem... — Poznajesz mnie? — zapytałem.

Zbliżyła swoją twarz do mojej...

— Poznaję — odpowiedziała spokojnie. — Ciągle na szlaku, Tommy?

— Tak jak ty, zdaje się.

Roześmiała się.

— Świat jest taki duży... — odrzekła lekko... i taki piękny — dodała.

Spotkałem ją gdzieś na południe od Brześcia, na ciemnej, natłoczonej uciekinierami szosie. Szła sobie, ni to dziecko, ni kobieta, z małym plecaczkiem i pogwizdywała. Tak się złożyło, że szliśmy obok siebie, a potem, odpoczywając w rowie, dzieliliśmy się chlebem i kiełbasą. Wędrowaliśmy razem jeszcze przez cztery dni. Dziwna to była wędrówka... Stowarzyszyliśmy się bez słowa i byliśmy we dwójkę, dopóki nam droga wypadła. Przez cztery dni nie mówiliśmy ze sobą nic, albo bardzo mało. O czym właściwie mieliśmy gadać: nie byliśmy wtedy mężczyzną i kobietą. Żadne z nas nie poczuło jakoś „zewu płci". Jak dwaj koledzy spaliśmy w zimne noce w stodole albo w stogu siana, przytuleni do siebie, grzejąc się nawzajem pod jednym cienkim kocykiem, wspólnie gdzieś wyszabrowanym. Arcychytrymi sposobami kombinowaliśmy żywność, papierosy... Przysiadaliśmy na wojskowe wozy taborowe i małe chłopskie furmanki. Cieszyliśmy się razem jesiennym słońcem, opadającymi liśćmi i swobodą. Nie wiem, do dzisiaj nie wiem, dlaczego miała do mnie tyle zaufania. Dość na tym, że było nam razem dobrze. Bez gadania rozumieliśmy się tak, jak gdybyśmy od lat razem wędrowali... Podobnie odczuwaliśmy cud włóczęgi, perspektywy zakurzonych szos, podobnie przeżywaliśmy tragedię rozlatującej się Polski... Poglądy nasze tak się zazębiały, że spojrzeliśmy na siebie lub powiedzieliśmy jedno słowo i już wszystko było wiadome... Nie wiedziałem o niej nic, dosłownie nic: ani jak się nazywa, gdzie mieszka, co robi, ile ma lat. O takie rzeczy nie pytałem, ani ja jej, ani ona mnie. Powiedzieliśmy sobie po prostu imiona... i już. Wiedziałem tylko tyle, że ma oczy najbardziej niebieskie... Oczy, jakie się spotyka i to bardzo rzadko u lotników albo marynarzy.



Rys. Tadeusz Kryszak

Przy świetle ognia przyjrzałem się jej dokładniej...

Rozeszliśmy się zupełnie po prostu. Przyszło takie skrzyżowanie dróg, gdzie mnie wypadło iść na lewo, a jej na prawo. Uścisnęliśmy sobie mocno ręce.

— Wesołych szlaków, Inga.

— Trzymaj się mocno Tommy.

Powędrowaliśmy dalej. Każde w swoją stronę. Nie przypuszczałem nigdy, że ją kiedykolwiek zobaczę. Świat jest taki duży, a nasze drogi... Wiedziałem, że będą dalekie.

Teraz spotkaliśmy się znowu. Spotkaliśmy się tak, jak gdyby od tamtego czasu minęło kilka dni. Z powrotem mogliśmy zacząć przerwaną przed sześciu laty rozmowę, gdyby... Gdyby było po prostu o czym mówić. Poprawiłem czapkę i z fantazją wziąłem na gazie ostry zakręt. Parsknęła śmiechem... Nie, nic się nie zmieniło. Roześmiałem się razem z nią.

— Szczęśliwa jesteś tak, jak wtedy? Tak jak zawsze — poprawiłem.

Kiwnęła głową.

— Teraz tak. Przedtem były dla mnie złe czasy, bardzo złe. Wiesz, byłam w powstaniu, potem w niewoli, w obozie... To było dla mnie bardzo ciężkie. Rozumiesz przecież, że nie umiem żyć w niewoli. Do tego ta zgraja opętanych manią wojskowości kobiet. Nigdy już, nigdy! — krzyknęła prawie — nie dam się zamknąć!

— A teraz jesteś w mundurze — wtrąciłem.

— Ech — kpij z tego. Na drugi dzień po uwolnieniu zgubiłem się z obozu tak dokładnie, że nigdy tam nawet nie zajrzałam. Ten mundur, to przecież dekoracja, łatwiej w nim jeździć. A ja... Wiesz przecież sam... Muszę ciągle z miejsca na miejsce...

— Teraz do Schweningen? — zapytałem.

— Może — odparła niefrasobliwie.

— Mam kurs na Francję, mogę cię podwieźć.

— Dobrze. Przejadę się. — Nieoczekiwana decyzja padła po trzech sekundach namysłu. — A jak przez granicę? — pytanie było rzeczowe.

— Dopiszę cię na mojej przepustce. Jakoś to zresztą będzie. Nie ma zmartwienia.

Na kolację zatrzymaliśmy się w osnutej mgłami dolinie. Rozpaliliśmy ognisko, zagrzeliśmy konserwy. Przy świetle ognia przyjrzałem się jej dokładniej: prawie nic się nie zmieniła, wydoroślała tylko bardzo. Przemknęło mi przez myśl, jaka młoda musiała być wtedy, sześć lat temu... Oparła się na ręku i milcząc patrzała w dogasające płomienie. Ostatnie blaski pełgały po jej krótko ostrzyżonych jasnych włosach. Nagle zdałem sobie sprawę, że przecież jest piękna... Piękna jakąś pierwotną, dziką urodą... A przecież rysy miała delikatne i prawie dziecinne. Tylko spod prostych prawie brwi spoglądały jakby niewidząco spokojne oczy o barwie nieba przed burzą...

Znowu, jak przed laty, złapałem się na tym, że oglądam ją nie jak kobietę, a jak piękny kwiat albo dzieło sztuki.

Podniosła się i rzuciła w ogień trzymaną w ręku gałązkę.

— Pojedziemy chyba — klepnęła mnie po ramieniu. — Chcesz może odpocząć? Poprowadzę...

Dawała sobie radę z jeepym, jak stary szofer.

— Prześpij się lepiej teraz — poradziła mi. — Potem mnie zmienisz.

Wlazłem głową do śpiwora i ułożyłem się wygodnie, o ile wygodnie można się ułożyć w najbardziej prawdopodobnie nie wygodnym wehikule świata, jakim jest jeep. Poprzez szum motoru posłyszałem gwizdaną melodię. Tę melodię, którą kiedyś... Zawtórowałem kilka taktów. Przerwała i roześmiała się.

— Pamiętasz Chełm? — rzuciła mi do tyłu. Myśleliśmy o tym samym. Tak jak dawniej.

Zasnąłem i śniła mi się jakaś fantastyczna włóczęga wzdłuż drzewami wysadzanych dróg. Dawno już tak spokojnie i bezpiecznie nie spałem. Zbudziła mnie cisza. Świtało. Moja towarzyszka przeglądała mapę. — Gdzie jesteśmy? — zapytałem sennie.

— Niedaleko od granicy. Możeby teraz tak tę przepustkę wypisać.

— O Key! — Wygrzebałem się ze śpiwora, przeciągnąłem. Zauważyłem, że jest zziębnięta. — Kropniemy sobie dla rozgrzewki? — zapytałem, sięgając po butelkę.

— Nie. — potrząsnęła głową. — Ja ciągle jeszcze nie piję. Chociaż — zastanowiła się — tak na nasze spotkanie.

Wypisałem przepustkę.

— Masz jakąś legitymację? — zapytałem. Miała, na jakieś nic nie mówiące nazwisko. — To i tak nie moje — powiedziała lekko.

Siadłem do kierownicy.

— Chcesz się chyba przespać? — zagadnąłem.

— Nie. — odparła. — Chcę widzieć świat.

Pojechaliśmy dalej przez strome szosy Schwarzwaldu i Alzacji, przez długi most na Renie i liczne posterunki francuskie. Stwierdziłem, że mówi po francusku.

— Po niemiecku też — odpowiedziała na moje zdziwione spojrzenie. — Tak się jakoś nauczyłam, przydaje się.

Znowu tak jak kiedyś wyglądaliśmy razem ciekawie zza zakrętów, mijaliśmy wioski i miasta. Znowu, tak jak dawniej nic do siebie nie mówiliśmy, tylko czasem któreś wskazało na coś ręką.

— Wiesz co — zagadnąłem ją gdzieś już głęboko we Francji. — A może przystaniesz do nas. Jest nas niewielu, takich samych jak ja. Nie będzie nam źle.

Roześmiała się i przecząco potrząsnęła głową.

— Sam rozumiesz, że nie. Mnie jest dobrze ze sobą i nikogo nie chcę na towarzysza. Popatrz: teraz przyszła mi ochota jechać do Francji i pojechałam, nic nikomu nie mówiąc. Nikt nie będzie się o mnie niepokoił. Potem zrobię to, na co mi przyjdzie ochota. Może zostanę tam jeden dzień, a może dwa miesiące... Może pojadę do Afryki, a może do Norwegii... Nie wiem jeszcze. Nie chcę nawet wiedzieć. Najciekawsza jest przecież niespodzianka. Spotykam ludzi... ciekawych i nieciekawych, mądrych i głupich, dobrych i złych... Zjawiają się w moim życiu na krótkie momenty i giną później w ludzkiej ciżbie. Nikt o mnie nic nie wie. Ja już sama właściwie zapomniałam, kim kiedyś byłam. Codziennie zaczynam życie od nowa. A co będzie kiedyś... Jeszcze jestem młoda. To „kiedyś" jest tak daleko...

Zamyśliłem się... Tak. Była londonowskim „trampem królewskim". Szła przez życie samotnie. Atawistyczny przeżytek sprzed tysięcy lat? Może to się odzywała kropla krwi jakiegoś przodka z koczowniczych plemion azjatyckich... Może jej prababka była kiedyś Amazonką... Nie wiem... Przyjmowałem ją taką, jaką była. Co mnie obchodziła reszta. Spojrzałem w jej szeroko otwarte oczy koloru chmur... Nie zobaczyłem w nich nic. A może... jakaś wizja dalekich szlaków...

Spojrzała na mnie przelotnie.

— Nie myśl o głupstwach — powiedziała poważnie. — Nasze drogi się schodzą i rozchodzą. Może się jeszcze kiedyś zejdą...

Zamilkłem. Nie mówiliśmy już więcej na ten temat. Znowu byliśmy dziećmi w jakimś wielkim ogródku jordanowskim... Znowu roześmiani mijaliśmy skrzyżowania szos.

W zachodzącym słońcu wjeżdżaliśmy na przedmieście Paryża. Popołudniowy tłum włóczył się po chodnikach.

— Gdzie cię mam podrzucić? — zapytałem.

— Och, gdziekolwiek. Pojadę sobie metrem. Na przykład na Concorde.

Minęliśmy Łuk Triumfalny i w ciżbie niezliczonych samochodów wolno posuwaliśmy się Polami Elizejskimi. Zatrzymałem się na Placu. Lekko wyskoczyła z jeepa i przerzuciła przez ramię niewielki chlebak wojskowy.

— Dobrych wiatrów, marynarzu — wyciągnęła do mnie rękę.

Uścisnąłem jej małą, silną dłoń.

— Solong wagabundo...

Odwróciła się i pogwizdując odeszła... Patrzałem na nią, dopóki nie zniknęła mi w perspektywie mostu na Sekwanie... Nie odwróciła się ani razu... Widocznie już zapomniała...

— — — — — — — —

...Nie spotkałem jej więcej... Nie dowiadywałem się o nią. Po co?... Na pewno jest gdzieś w świecie, na pewno nie zeszła ze szlaku. Może jej już nie spotkam, a może... Może drogi nasze znowu się skrzyżują. Tak, jak kiedyś i tak, jak teraz...

Trudności przy WYBORZE ZAWODU

JAK wykazały obserwacje w poradniach zawodowych, przy wyborze przez młodzież zawodu decyduje także pewnego rodzaju „moda". Są zawody „modne", jak np. przed wojną w Łodzi zawód lotnika i zawody, na które młodzież miejska w ogóle nie reflektowała jak np. w Łodzi, zawód rzeźnika, czy księdza.

Jakie czynniki poza „modą", to jest ogólnym pędem, decydują o wyborze przez młodzież zawodu. Najważniejsze — to są wyobrażenia o zawodzie. A te wyobrażenia młodzieży o przyszłym zawodzie są jednostronne: młodzież widzi zawód od strony przyjemnej, czysto zewnętrznej, od strony ozdobnej fasady.

Jeden z moich wychowanków wybrał zawód leśnika, ponieważ związał ten zawód z obrazem elegancko ubranego leśnika, szumiącego lasu, polowania, trąbki itd. Gdy mu ukazałem zawód od strony nieprzyjemnej (listopadowa, dżdżysta noc, konieczność wyjścia w ciemny las w celu uniemożliwienia kradzieży drzewa), zrezygnował z tego zawodu.

Na decyzję wyboru zawodu, wpływają często opowiadania przyjaciół pracujących



Są zawody „modne", jak np. przed wojną zawód lotnika

już w zawodzie, szczególnie, gdy im ten zawód się podoba, literatura, kino, teatr, czy łatwość osiągnięcia — ta ostatnia przyczyna najczęściej u niezaradnych, lub niezamożnych. Względy materialne odgrywają mniejszą rolę, niż znaczenie socjalne zawodu: inteligent chętniej skieruje swe dziecko do zawodu inteligenckiego (praca umysłowa), niż do innego, popłatnego, lecz nie znajdującego uznania w danym środowisku. Tym się tłumaczy fakt, że szkoła młynarska w Kaliszu, która kształciła przed wojną młynarzy, a więc w zawodzie b. popłatnym, miała wielu kandydatów wśród Niemców, Czechów z Wołynia, tylko nie Polaków. Popłatny zawód rzeźnika, czy księdza przed wojną nie znajdował u młodzieży łódzkiej żadnego zrozumienia. Trzeba się z tymi faktami liczyć.

Czynniki, które należy brać pod uwagę przy obiorze zawodu

W pierwszym rzędzie jest to wyobrażenie o zawodzie. Należy młodzieży pokazać wszystkie strony zawodu. Wycieczki do zakładów pracy, konferencje z pracownikami na miejscu, teoretyczne przepracowanie zagadnienia chorób zawodowych, niebezpieczeństwa pracy rozświetli nam bliżej to zagadnienie. Wreszcie wzór społeczny zawodu. Określony zawód wymaga od nas odpowiedniego przystosowania się do niego. Np. nauczyciela wprawne oko rozpozna po ruchach, postawie, rozmowie (nie tylko treści ale i formie). Wiadomo powszechnie, że to samo zachowanie się w tym samym otoczeniu nauczyciela wywoła oburzenie, gdy np. dorożkarzowi ujdzie nie tylko bezkarnie, ale wywoła przyjazne uśmiechy. Jeśli ktoś nie rozumie, że w pewnych zawodach nie wypada mu się w taki sposób zachowywać, aby w świadomości otoczenia wywoływało to zgorszenie, to taki człowiek będzie ciągle w niezgodzie z tym otoczeniem, czego by nie było, gdyby wybrał zawód bardziej odpowiedni dla siebie. Wszystkie zawody tzw. służby społecznej mają ten charakter, są pod kontrolą społeczeństwa (nauczyciel, lekarz, działacz społeczny, urzędnicy urzędów o charakterze społecznym, opieka społeczna, oświata, kultura, wczasy itp.).

Zamiłowanie a uzdolnienie

Jeśli po wszechstronnym zaznajomieniu się ze wszystkimi miłymi i niemiłymi stronami zawodu stwierdzimy, że nam się ten zawód podoba, że czujemy do niego zamiłowanie, to jeszcze nie wystarcza, abyśmy go wybrali. Trzeba poznać siebie więcej, trzeba zbadać swoje uzdolnienia, które się często nie pokrywają z zamiłowaniem do zawodu. Jeślibyśmy w takim wypadku wybrali zawód, do którego nie posiadamy uzdolnień, to wtedy nasze postępy w nauce będą tak nikłe, że nas to zniechęci w końcu do pracy.

Nasi wychowawcy i nauczyciele, lub szczerzy przyjaciele na pewno nam pomogą w ocenie własnych uzdolnień, albowiem nasze wyobrażenia o nas samych i my sami, to dwie rzeczy różniące się nieraz w znacznym stopniu. Doświadczony pedagog może nam otworzyć oczy na wiele faktów, których sami nie dostrzegamy i w ten sposób unikniemy błędu. Uzdolnienia możemy podzielić na fizyczne i psychiczne. Pierwsze — to nasze zdrowie, o czym tylko lekarz może wydać miarodajną opinię. Trzeba tutaj stwierdzić, że ani młodzież, ani rodzice i nauczyciele nie doceniają w całej rozciągłości zagadnienia zdrowia. Niektóre zawody źle oddziaływują na niektóre organy cielesne. Rzeczą zasadniczej wagi jest orzeczenie, czy te organy u kandydata do zawodu są w tak dobrym stanie, że organizm uodporni się na szkodliwe działanie pracy zawodowej.

Drugie — to dyspozycje psychiczne. Różne zawody wymagają różnych dyspozycji psychicznych, nieraz wręcz przeciwnych sobie. Np. gdy zawód zegarmistrza, czy uczonego wymaga skupionej uwagi na jednym zagadnieniu, to zawód szofera wymaga rozstrzelonej uwagi, obejmującej naraz szereg wrażeń wzrokowych, słuchowych, mięśniowo - ruchowych. Tę sprawę najlepiej nam wyjaśni nasz wychowawca, który przez dłuższy okres czasu się nami zajmował.



Pracownik spółdzielczy nie działa samotnie.

Spółdzielczość umożliwia szerokie perspektywy w wyborze zawodu

Zakres działalności ruchu spółdzielczego w Polsce tak się rozszerzył i ciągle rozszerza, że daje ogromne możliwości w wyborze zawodu.

Potrzeba nam i rzutkich organizatorów i skupionych ekonomistów i ruchliwych, spostrzegawczych, inteligentnych kierowników i sprzedawców na placówkach i rozważnych, systematycznych księgowych. Potrzebujemy, brakarzy lnu, wełny, szczeciny i pierza, instruktorów rybołóstwa i hodowli trzody chlewnej, kierowników tuczarni drobiu, prześwietlaczy jaj, kierowników mleczarni i zakładów przetworów owocowo - warzywniczych, nadmlynarzy i nadzorców przy wydobyciu torfu.

Ruch spółdzielczy wchłonie dużą liczbę wszelkiego rodzaju referentów: zbóż, nawozów sztucznych, zielarskich, przemysłowo - rolnych, obok sprzedawców artykułów włókienniczych, żelaza, galanterii szklanej, węgla, artykułów mydlarskich itp. Potrzebujemy wielu magazynierów, techników od urządzeń chłodniczych, traktorzystów i szoferów, oraz referentów transportowych, potrzebujemy inżynierów, handlowców i nauczycieli szkół spółdzielczych i wielu innych fachowców: od śledzi, owoców południowych, mięsa, konserw, serów, octowni, chcemy przyjmować fachowców do własnych fabryk mydła, makaronu, soków i surówek owocowych, oraz marmolady, do elewatorów zbożowych, do pracy przy eksporcie towarów zagranicę i przy imporcie towarów kolonialnych i surowców.

Wybór olbrzymi. Na młodzież oczekują szkoły spółdzielcze I i II stopnia, licea spółdzielcze, studia spółdzielcze na wyższych uczelniach.

Charakter

Jeśli zamiłowania i uzdolnienia się pokrywają, to jeszcze powinniśmy wziąć pod uwagę ważny czynnik: charakter. Czy starczy nam woli, aby okresy długotrwałych ćwiczeń i żmudnej pracy przezwyciężyć, aby się — mimo odpowiednich zdolności i chęci — nie zniechęcić do zawodu? I znów pomoc może tu nam okazać nasz wychowawca, czy mądry, stary przyjaciel, który nas zna od wielu lat. Jeśli stwierdzimy, że nie mamy w sobie dość uporu, aby pokonać wszelkie trudności przy kształceniu zawodowym, wtedy lepiej wybrać pokrewny zawód, wymagający mniejszego nakładu pracy.

Aspiracje nasze a zawód

Wreszcie dla osiągnięcia osobistego szczęścia, które jest możliwe, jeśli nas zawód porywa, jeśli nas pasjonuje — jest przeanalizowanie naszych marzeń i wyobrażeń o swej roli w przyszłości. Jeśli wybrany zawód — jeśli praca w tym zawodzie — nas entuzjazmuje, jeśli nie odczuwamy zmęczenia podczas trwania pracy, choć po pracy, czujemy się b. wyczerpani, to jesteśmy na najlepszej drodze. Nie rzemieślnikami wtedy, a artystami będziemy. Praca nasza dosięgnie poziomu twórczości. To nam da najwyższe zadowolenie, na rzecz którego odrzucimy stanowiska i tytuły, sławę i podziw otoczenia. Będzie nas porywać dzieło, które tworzymy, będziemy wciąż odczuwać i radość i niedosyt, nasza wizja tego, co moglibyśmy zrobić, będzie nas wciąż pasjonować i porywać do dalszych wysiłków.

Jak sobie wyobrażamy społeczny wzór pracownika spółdzielczego?

Trzeba się przy obraniu zawodu, który umożliwi pracę w ruchu spółdzielczym — zastanowić i nad tym, czym odróżnia się ten ruch od innych? Czy to będzie zgodne z moim światopoglądem?

Albowiem ruch spółdzielczy nie jest w Polsce apolityczny. Ruch spółdzielczy stoi twardo na gruncie gospodarczych i społecznych przemian i pracuje w kierunku utrwalenia tych przemian. Jeśli ktoś jest np. zwolennikiem indywidualnej, kapitalistycznej gospodarki, źle trafiłby do spółdzielczości. Praca w ruchu spółdzielczym powinna mieć charakter służby społecznej.

Pracownik spółdzielczy, to nie ten, który nawet przyczynia się do rozwoju przedsiębiorstwa spółdzielczego i cieszy się z tego rozwoju, ale ten, który stara się tak współpracować z innymi, aby to przedsiębiorstwo możliwie najlepiej służyło zaspokajaniu potrzeb ludzkich. Dlatego będzie podejmował nie tylko takie akcje, które dają największe obroty i największą nadwyżkę bez względu na to, czy zaspokajają



Odrzucimy stanowiska i tytuły, będzie nas porywać dzieło.

w najlepszy sposób potrzeby szerokich mas robotników, chłopów i inteligencji pracującej, ale będzie usiłował rozwiązywać zadanie niewdzięczne nieraz, nie dające efektu handlowego, ale rezultaty będą miały charakter społeczny.

Przykład: zapewnienie dzieciom robotników i inteligencji pracującej w miastach dostawy mleka jest zadaniem trudnym, niewdzięcznym, nie dającym na pewno znacznych efektów w nadwyżce, ale podjęcie tego trudu przez działaczy spółdzielni powszechnych powitane zostałoby z radością przez wszystkich obywateli.

Społeczny wzór pracownika spółdzielczego, to typ społecznika, rozumiejącego bolączki gospodarcze ludności i na tyle odważnego, aby w hierarchii działań gospodarczych postawić na pierwszym planie zadanie społecznie doniosłe, a nie gospodarczo rentowne.

Wreszcie najistotniejszą — moim zdaniem — cechą, pracownika spółdzielczego jest jego zdolność do współdziałania. Jeżeli komuś jest trudno zrozumieć stanowisko przeciwnika i lojalnie się do niego ustosunkować (mieć dobrą wolę jak najprzychylniejszej interpretacji tego stanowiska), to takiemu trudno będzie wytworzyć atmosferę współdziałania. Niezdolność do zrozumienia stanowiska innych ludzi (egocentryzm) i uparte trzymanie się własnego zdania nie prowadzi nigdy do porozumienia. Uwzględnianie argumentów innych ludzi, wczuwanie się w sens tych argumentów wytwarza najlepszą atmosferę współpracy. Pracownik spółdzielczy nie działa samotnie. Pracuje w gromadzie, z gromadą tworzy „nowy, lepszy świat". Aby ta praca przynosiła mu zadowolenie, powinna być oparta na współdziałaniu. Kto lubi samotnie, bez udziału innych pracować, ten nie powinien szukać pracy w spółdzielni. Natomiast ci, którzy marzą o sprawiedliwości społecznej, o wyrównaniu krzywd słabym, kobietom i dzieciom, o tworzeniu zbiorowym wysiłkiem lepszych warunków życia dla wszystkich, a nie dla wybranych, ci wszyscy mają otwartą, jasną drogę do twórczej pracy w ruchu spółdzielczym po odpowiednim, fachowym przygotowaniu się do zawodu.

WŁADYSŁAW ZELAZKO

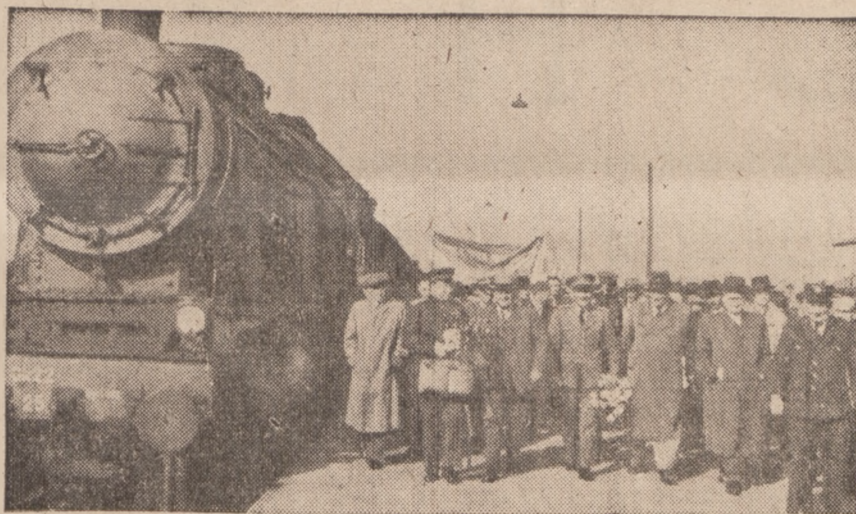
P. S. Wszelkie wiadomości o szkołach spółdzielczych, warunkach przyjęcia, opłatach, udziela Związek Rewizyjny Spółdzielni R. P., Warszawa, Kopernika 30.

Film TYGODNIA



POLSKA — FRANCJA

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie odbyła się wymiana dokumentów ratyfikacyjnych polsko-francuskiej konwencji kulturalnej. Wymiany dokonał: ze strony polskiej min. Modzelewski, ze strony francuskiej — min. Jaxe.



Odbywające się w Warszawie plenum Komitetu Słowiańskiego zgromadziło delegatów ze wszystkich krajów słowiańskich. Na zdjęciu: przybycie delegacji jugosłowiańskiej na Dworzec Główny

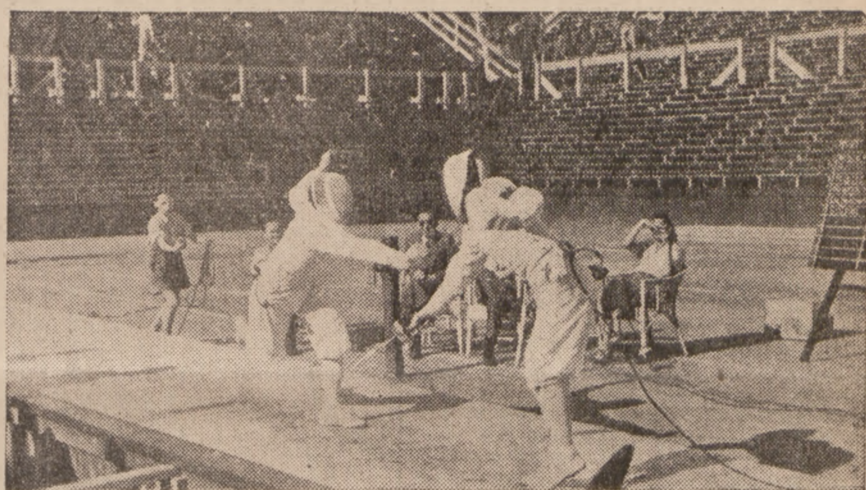


POLSKA — ANGLIA

Nowy ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce, sir Donald St. Clair Gainer złożył prezydentowi Bierutowi w Belwederze swe listy uwierzytelniające.



Dyrektor naczelny C.A.R.E. (Amerykańskiej Spółdzielni Pomocy Europie) Paul C. French u prezesa „Społem" J. Żerkowskiego. C.A.R.E. za pośrednictwem „Społem" dostarcza paczki amerykańskie dla Polski.



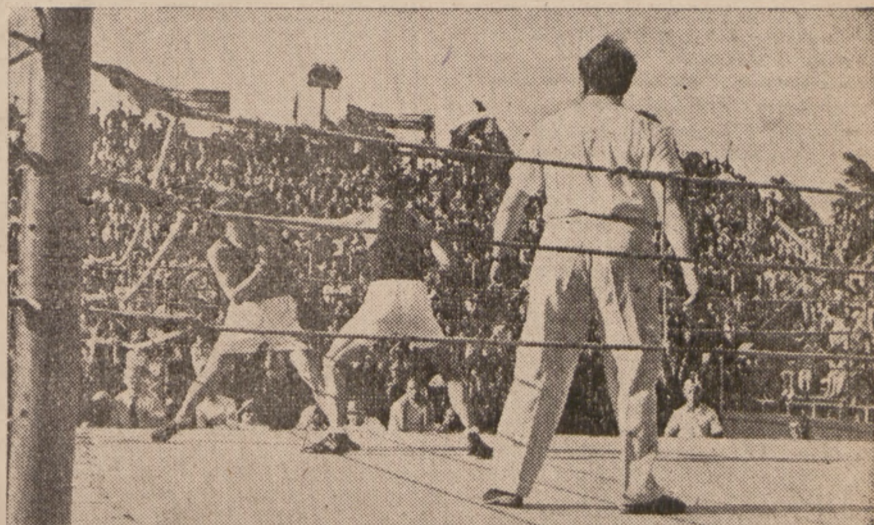
Fot. Film Polski

W półfinałach walk na szpady. Nawrocki (AZS) zwycięża Fokta (Legia)



Fot. Film Polski

Codzienna porcja paczek z Ameryki wyładowywana na Dworcu Głównym w Warszawie



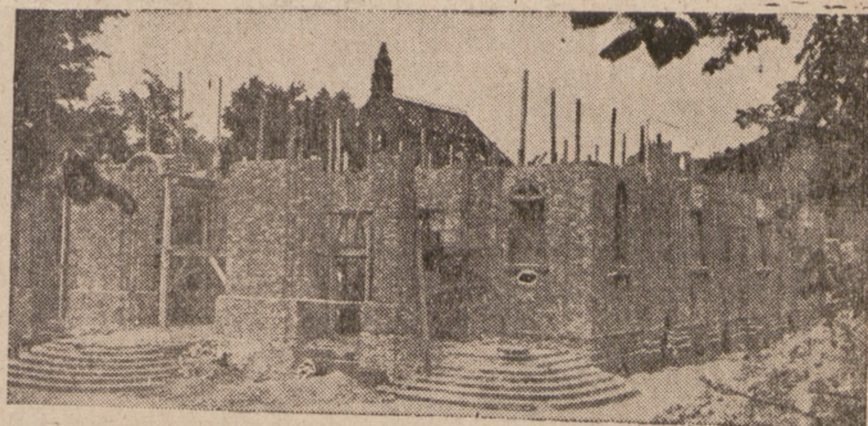
Fot. Film Polski

Mecz — mitting na stadionie Wojska Polskiego. Na ringu



Film Polski

Wisła daje piasek dla odbudowy stolicy



Fot. Film Polski

Kościół św. Piotra i Pawła na Koszykach w Warszawie wznosi się z gruzów

JAN SKULSKI

KRZYCZCIE CHINY

Republika niezniszczonych nadziei

Z górą 35 lat temu rewolucja w Chinach powaliła tyranię dynastii mandżurskiej. 19-go grudnia 1911 roku została proklamowana republika, na czele której stanął jako jej pierwszy prezydent Sun-Jat-Sen. Ale w ciągu tych 35 lat nie dane było narodowi chińskiemu zaznać wiele szczęścia w nowej republice, mimo że reformatorskie plany i szlachetne zamiary Sun-Jat-Sena — wielkiego nauczyciela współczesnych Chin — miały przeobrazić ten olbrzymi kraj liczący 450 milionów ludności w niepodległe i postępowe państwo.

Na przeszkodzie temu stanęły nie tylko wsteczne siły w samym narodzie, ale w pierwszym rzędzie międzynarodowe siły imperialistyczne, które obrały sobie Chiny jako pole swej nieokiełznanej działalności ekspansywnej. Wszystkie państwa imperialistyczne ostatnich stu lat — Japonia, Niemcy, Ameryka, Anglia, carska Rosja — traktowały Chiny jako swój rynek zbytu i bez skrupułów eksploatowały kraj. Chiny od wielu dziesiątków lat są jakby wielkim jarmarkiem imperialistycznym, na którym kapitał różnych maści, często ostro nawzajem siebie zwalczając, nieskrępowanie handluje pracą, bogactwem i krwią Chińczyków.

W okresie między pierwszą a drugą wojną światową Ameryka zajmowała stosunkowo słabą pozycję w Chinach; stosunek zaangażowanych przez nią kapitałów do kapitałów Anglii i Japonii wynosił 1:12. Ameryka szukała wtedy miejsca pod chińskim słońcem i hołdowała polityce otwartych drzwi w Chinach.

Obecnie jednak, po klęsce Japonii i zbiednieniu Anglii zatrzasnęła za sobą te otwarte drzwi i posiada dziś omal że wyłączność na tym imperialistycznym jarmarku. Jeśli w Europie galwanizowanie reakcji przy pomocy dolarowych zastrzyków natrafia na poważne trudności, to w Chinach — w kraju feodalnego zacofania, powszechnej korupcji i permanentnej wojny domowej, amerykańska polityka dolarowa miała zadanie ułatwione. Czang-Kai-Szek okazał dostateczne „zrozumienie" dla spraw Ameryki, Chińczycy zaś są dostatecznie skłóceni i słabi, by mogli oprzeć się amerykańskim zamiarom.

Mimo iż Ameryka od zakończenia wojny „wpakowała" w Kuomintang 4 miliardy dolarów, pozycja Czang-Kai-Szeka nie tylko że się nie wzmocniła, lecz ostatnio została mocno nadwyrężona. Niemniej jednak chaos wewnętrzny i pobyt wojsk amerykańsich w Chinach, daje częściowo rękojmię, że kraj ten nie zdoła się wyrwać z objęć imperializmu amerykańskiego. Znany amerykański pisarz, znawca Dalekiego Wschodu Snow, oświadczył niedawno w specjalnej audycji radiowej, że polityka amerykańska w Chinach „stanowi zasadnicze zaprzeczenie suwerenności i niepodległości narodu chińskiego".

Zasady Sun-Jat-Sena i zdrada Czang-Kai-Szeka

Na przełomie XIX i XX w. Chiny skrystalizowały swój program narodowego wyzwolenia. W 1905 roku Sun-Jat-Sen — twórca tego programu — sformułował tak zw. Trzy Zasady Ludu: Niepodległość narodowa, Demokracja, Socjalizm.

Pod tymi właśnie hasłami walczyła i zwyciężyła republikańska rewolucja 1911 roku. Ale hasła te nigdy w Chinach nie zostały zrealizowane. Kuomintang, partia ogólno-narodowa stworzona przez Sun-Jat-Sena, rychło po śmierci swego założyciela (Sun-Jat-Sen zmarł w 1925 r.), porzuciła program Trzech Zasad Ludu i stała się wyrazicielem dążeń reakcji.

W 1927 r. Czang-Kai-Szek, który zajął miejsce Sun-Jat-Sena, usunął z Kuomintangu komunistów i radykalnych demokratów i jął wprowadzać system dyktatorski. Od tego czasu trwa w Chinach wojna domowa między Kuomintangiem i armią ludowo-demokratyczną, walczącą o realizację zasad Sun-Jat-Sena.

W północno - zachodnich Chinach na terenach opanowanych przez armię ludowo-demokratyczną, potocznie nazywaną „armią komunistyczną", powstały tak zw. „Czerwone Chiny". W istocie rzeczy „czerwień" tych Chin w świetle u nas przyjętych pojęć jest bardzo blada. W okręgach tych została przeprowadzona częściowo reforma rolna (w Chinach około 55 procent chłopów to bezrolni), zostały zmniejszone podatki i czynsz dzierżawny, który w Chinach kuomintangowskich do dziś dnia wynosi 70 do 80 proc. plonu; zostały ustanowione z wyboru władze samorządu ludowego, jednym słowem zostały zmienione feodalne stosunki, jakie panują w reszcie kraju.

Sześć wielkich ofensyw przedsięwziął Czang-Kai-Szek przeciw okręgom demokratycznym w okresie 1927 — 1937, ale żadna z nich nie osiągnęła celu. W 1937 roku, gdy Japończycy wdarli się w głąb Chin, nastąpiło porozumienie walczących stron. Płomień wojny domowej został przytłumiony, ale bynajmniej nie wygasł.

Chińskie paradoksy

Po zawarciu porozumienia, wojsko ludowe liczące blisko miliona ludzi rzuciło wszystkie swoje siły do walki z Japonią. Na tyłach wroga armia ludowo - demokratyczna zorganizowała olbrzymi ruch partyzancki, liczący pół miliona ludzi. Ten masowy ruch partyzancki był dla Japończyków szczególnie niebezpieczny. Poza liniami kolejowymi Japończycy nie panowali nad olbrzymimi połaciami kraju, które znajdowały się pod kontrolą partyzantów. Armia ludowo - demokratyczna przez cały czas wojny aktywnie walczyła z Japończykami i główny ciężar walki spoczywał na jej barkach.

Angielski dziennikarz Helder w swej książce o Chinach pisze, że „główną zaporą posuwania się Japończyków w głąb kraju była nie armia kuomintangowskiego rządu, lecz armia narodowo - demokratyczna, na „upór" której żaliła się japońska prasa".

W tym samym czasie armia Czang-Kai-Szeka licząca około 3 miliony ludzi i posiadająca doskonały i obfity sprzęt amerykański, uchylała się od aktywnych działań na froncie. W okresie największego natężenia walk nie więcej jak sto dywizyj Czang-Kai-Szeka t. j. około jednej trzeciej ogólnej ilości jego wojsk, brało czynny udział w walkach frontowych. Reszta olbrzymiej armii znajdowała się albo na tyłach lub też blokowała oddziały armii ludowo-demokratycznej znajdującej się na froncie. Olbrzymie ilości amerykańskiego sprzętu wojennego leżało w składach, gdy jednocześnie armia ludowo - demokratyczna odczuwała chroniczny brak broni i amunicji. Mimo tych braków armia ta wzrastała i pod koniec wojny szeregi jej liczyły przeszło 1.500 tys. ludzi. W 1941 roku około 50 dywizyj rządowych, stojących dotychczas w odwodzie zaatakowało znienacka czwartą nową armię ludowo - demokratyczną operującą przeciw Japończykom na centralnym froncie. Wprawdzie porozumienie zawarte w 1937 roku zostało faktycznie zerwane w 1939 roku, ale ten zbrojny atak wojsk rządowych rozwiał wszelkie pozory istnienia wewnętrznego pokoju. W ten sposób Chiny stały się niesamowitym kotłem nieporozumień i paradoksów. Z jednej strony armia rewolucyjna walczyła przeciw Japończykom, z drugiej zaś armia rządu, który był oficjalnym członkiem koalicji wielkich mocarstw demokratycznych — walczyła przeciw tym, którzy walczyli z Japończykami.



Nie sieje a zbiera

Po kapitulacji Japonii armia Czang-Kai-Szeka znalazła się w bardzo niewygodnej sytuacji. Na froncie znajdowały się armie ludowo - demokratyczne i one to rozbrajały Japończyków i zajmowały wyzwolone terytorium w północnych Chinach i w Mandżurii. Armia rządowa stała daleko na tyłach. Wtedy to Czang-Kai-Szek, jako formalny naczelny dowódca chińskich sił zbrojnych wydał rozkaz kapitulacyjny wojskom japońskim, by wstrzymały się od kapitulacji do chwili przybycia wojsk rządowych. Jednocześnie zaś przy pomocy amerykańskich środków transportowych przerzucił on z Indochin dwie armie w celu zajęcia wyzwolonych terenów.

Jesienią 1945 roku, doszło na tym tle do ostrych walk, które objęły jedenaście prowincji. Wojska ludowo - demokratyczne zahartowane w walkach frontowych, zadały przeciwnikowi wiele strat i zdołały utrzymać zajęte tereny. W armii rządowej szerzyła się demoralizacja. Całe dywizje przechodziły na przeciwną stronę lub zdawały się do niewoli. W tym stanie rzeczy Czang-Kai-Szek latem 1946 roku zgodził się na rokowania pokojowe. Czynił to zresztą zawsze, gdy ponosił klęski, po to jednak tylko, by przegrupować swe siły do nowego ataku. Istotnie po 15 dniach zawieszenia broni — 9 czerwca 1946 roku wojska rządowe po otrzymaniu nowych posiłków i transportów broni amerykańskiej, oraz przy pośredniej pomocy amerykańskiej piechoty morskiej, rozpoczęły nową wielką ofensywę. Tym razem wojska rządowe osiągnęły poważne sukcesy. Zajęły one około 120 miast, opanowały wiele linii komunikacyjnych i węzłów kolejowych. Czang-Kai-Szek zasugerowany tymi sukcesami wydał nawet we wrześniu rozkaz swym wojskom, by w ciągu trzech tygodni oczyściły tereny zajmowane przez armię ludowo - demokratyczną.

Jednak Czang-Kai-Szek przecenił swoje siły i nie docenił sił przeciwnika. „New York Herald Tribune" z 30.6.1946 roku pisał w związku z tym: „Armie Kuomintangu zostały doskonale uzbrojone i wyszkolone przez Amerykanów. Demokratyczne armie posiadają słabe uzbrojenie, zdobyte na Japończykach i prawdopodobnie w niedługim czasie stracą posiadane miasta, gdyż będą unikać wielkich bitew i rozpoczną partyzancką taktykę manewrów jaką stosowały w wojnie z Japonią. Wszystko to jednak nie oznacza, że będą one szybko i lekko pokonane. Armia demokratyczna jest słaba w sensie wojskowym, ale pod względem politycznym jest ona bardzo silna, co zresztą wykazała w czasie wojny z Japonią. Należy wątpić, czy uda się ją pokonać wyłącznie siłami wojskowymi".

Odwróciły się karty

Wiosną bieżącego roku armia ludowo-demokratyczna rozpoczęła ofensywę przeciw armii rządowej. Naczelny dowódca wojsk demokratycznych gen. Czu-De zastosował taktykę podobną do tej, jaką stosował w wojnie z Japonią. Polegała ona na izolowaniu przeciwnika panującego tylko nad liniami kolejowymi i wielkimi miastami przyzwyczajonego bronić swoje punkty oporu ze wszystkich stron.

W podobnej sytuacji znajdują się dziś wojska Kuomintangu w północno-zachodnich Chinach i w Mandżurii. 40 dywizyj, które się tam znajdują, uzbrojone są w sprzęt amerykański i odczuwają poważny brak amunicji z powodu przeładowania i rozciągnięcia linii komunikacyjnych. Skoncentrowane one są wzdłuż dwóch linii kolejowych, biegnących ze wschodu na zachód z Tsing-Tau do Tsinan i z północy na południe z Tientsin do Tsinan. Odżyła więc stara strategia kolejowa znana z wojny chińsko - japońskiej. Dowództwo wojsk rządowych stara się za wszelką cenę utrzymać łączność operacyjną ze swoim zapleczem przez wąskie korytarze w kierunku na południe. Jednak ofensywa armii ludowo - demokratycznej przekreśla ich plany. Wyloty tych korytarzy zostały zablokowane, linie kolejowe głównych kierunków koncentracji przecięte. Cały szereg węzłów kolejowych i miast zdobytych w ubiegłym roku przez wojska rządowe jak węzeł kolejowy i stolica prowincji Chajar — miasto Kalgan, stolica prowincji Szensi — Jenan, stolica prowincji Szansi — Taiwan, port Andung, miasto Czangczun i wiele innych — znów przeszły w ręce armii ludowo - demokratycznej. W Mandżurii wojska ludowe podeszły pod Mukden, przecinając linię kolejową na Charbin.

Trudno jest określić dokładną sytuację na frontach, które składają się z rozrzuconych na olbrzymich terenach kotłów, korytarzy i płynnych pozycyj. Zdaje się, że nawet sztaby walczących stron nie potrafiłyby dokładnie określić „Ordre de bataille" swoich wojsk. Niemniej jednak jasne jest, że wojska rządowe ustępują i tracą to, co zdołały zdobyć w ubiegłym roku.

Broń Boże narody...

Naród chiński jest już zmęczony tym ciągłym przelewem krwi i łaknie pokoju.

Demokratyczna opinia chińska w całym kraju domaga się natychmiastowego zaprzestania wojny domowej, o co też w istocie rzeczy walczy armia ludowo-demokratyczna. Wszystkie większe miasta Chin są widownią masowych demonstracyj ludności żądającej pojednania i pokoju. W Szanghaju i Nankinie doszło do krwawych starć policji z demonstrującymi studentami. Kuomintang, mając za sobą poparcie możnych sił zagranicznych, reaguje na te żądania wzmożonym terrorem. Obóz demokratyczny żąda pokoju i przeprowadzenia nowych wyborów do Zgromadzenia Narodowego, którego obecny skład wybrany jeszcze w 1937 roku, nie odpowiada obecnemu układowi sił w Chinach.

Ale Kuomintang z Czang-Kai-Szekiem na czele nie chce zrezygnować z monopolistycznej dyktatury i na żądanie narodu odpowiada terrorem i manewrami politycznymi w postaci uchwalenia „okrojonej" konstytucji, która w istocie rzeczy jest formalną sukienką dla półfaszystowskiej dyktatury.

Tragedia narodu chińskiego jest pouczającym, lecz smutnym przykładem tego, do czego prowadzi „pomoc" wielkiego kapitału i rządy usłużne tam kapitałowi reakcji.

Broń Boże narody przed taką „pomocą"–

Ilf i Pietrow

Jak powstał ROBINSON CRUSOE

tłum. J. Huszcza

Redakcja ilustrowanego pisma dla młodzieży „Przygoda“ dotkliwie odczuwała brak utworów, przykuwających uwagę młodego czytelnika.

Właściwie, utwory były, ale przenikała je dęta powaga: zamiast przykuwać, tylko nudziły. Redaktorowi zależało zaś właśnie na przykuwaniu.

Toteż zdecydował się w końcu zamówić powieść z dalszym ciągiem.

Goniec redakcyjny pomknął z wezwaniem do Mołdawancewa i już następnego dnia pisarz siedział na kanapie w gabinecie redaktora.

— Pan rozumie — tłumaczył redaktor — to musi być świeże, zajmujące, pełne ciekawych przygód. Innymi słowy, to musi być, że tak się wyrażę, nowoczesny Robinson Crusoe. Żeby czytelnik nie mógł się oderwać od lektury.

— Robinson? Rzecz jasna, można — krótko odparł pisarz.

— Tylko nie jakiś zwyczajny Robinson, ale nowoczesny!

Pisarz był lakoniczny. Od razu widziało się, że to człowiek czynu.

I rzeczywiście, w umówionym terminie powieść była gotowa. Autor nawet nie zanadto odbiegł od wielkiego wzoru. Wiadomo, jak Robinson to Robinson...

Sowiecki chłopiec przeżywa rozbicie okrętu, fala wyrzuca go na bezludną wyspę. Samotny bezbronny chłopak znalazł się przed obliczem potężnej przyrody. Dokoła czyhają niebezpieczeństwa: dzikie zwierzęta, liany, zbliżający się okres deszczów. Ale nowoczesny Robinson pokonuje wszystkie — zdawałoby się, że nieprzezwyciężone — przeszkody. W trzy lata potem odnajduje go sowiecka ekspedycja, odnajduje w pełnym rozkwicie sił. Chłopak pokonał przyrodę, zbudował sobie domek, otoczył go zielenią ogrodów, hodował króliki, uszył sobie kurtkę z małpich ogonów i nauczył papugę, by go co rano budziła słowami: „Hallo, radiosłuchacze! Wstawajcie, wstawajcie! Rozpoczynamy poranną gimnastykę!“

— Doskonale — powiedział redaktor — a te króliki wprost świetne. Zupełnie nowoczesne. Ale, wie pan, nie bardzo zdaję sobie sprawę z przewodniej myśli utworu.

— Walka człowieka z przyrodą — jak zwykle lakonicznie oświadczył Mołdawancew.

— No, tak, ale nie ma w tym niczego nowoczesnego.

— A papuga? Przecież ona zastępuje radio. Doświadczonego speakera.

— Papuga, zgoda! I zieleń ogrodów, zgoda. Ale nie czuje się w tym naszej społeczności. Gdzie są, na przykład, lokalne Komitety? Gdzie kierownicza rola związków zawodowych?

Mołdawancew nagle zaniepokoił się. Gdy tylko zorientował się, że powieść może być odrzucona, wyzbył się poprzedniej lakoniczności. Stał się wymowny.

— Skąd lokalne komitety? Przecie to bezludna wyspa.

— Owszem, bezludna. Ale komitet jest nieodzowny. Nie jestem pisarzem, jednak na pańskim miejscu wprowadziłbym go do powieści, jako integralnie nowoczesny element.

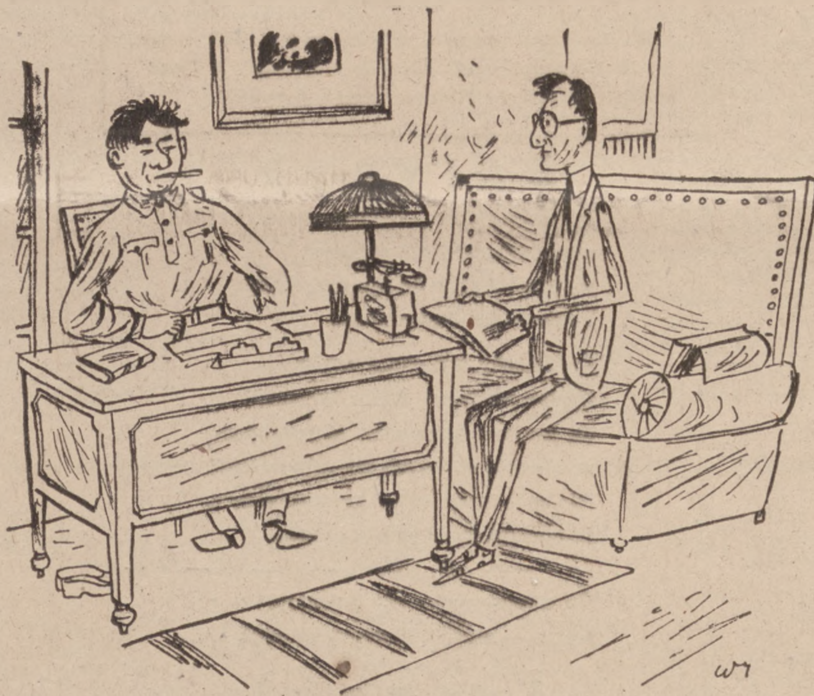
— Ale przecież cały pomysł opiera się na tym, że wyspa jest bezludna...

Mołdawancew mimochodem spojrzał w oczy redaktorowi i urwał. Oczy były takie wiośniane, wyczuwało się w nich tyle marcowej pustki i siności, że postanowił pójść na kompromis.

— A jednak muszę panu przyznać rację — powiedział, podnosząc palec. — Oczywiście! Że też mi to od razu nie przyszło do głowy... Z tonącego okrętu ratują się dwaj: nasz Robinson i przewodniczący Komitetu.

— I jeszcze dwaj członkowie — chłodno dodał redaktor.

— Oj! — jęknął Mołdawancew.



Rys. Ignacy Witz

— Żadne oj! Dwaj członkowie, no i jedna aktywistka, skarbniczka, inkasentka składek członkowskich.

— A pocóż aktywistka — inkasentka? Z kogo ona będzie ściągała składki?

— Z Robinsona.

— Z Robinsona może ściągać przewodniczący. Korona z głowy mu nie spadnie.

— Pan się grubo mylił, Mołdawancew. To jest zjawisko absolutnie niedopuszczalne. Przewodniczący Komitetu nie powinien rozmieniać się na drobne i uganiać za składkami. Właśnie z tym walczymy. Przewodniczący ma się zajmować poważną, kierowniczą działalnością.

— No, więc można i aktywistkę — poddał się Mołdawancew. — Tak nawet będzie lepiej. Wyjdzie potem za mąż za przewodniczącego lub za Robinsona. Przyjemniej będzie się czytało.

— Nie wypada. Należy unikać bulwarowej, niezdrowej erotyki. Niech sobie zbiera składki i przechowuje je w ogniotrwałej kasie.

Mołdawancew niespokojnie się poruszył.

— Przepraszam, skąd ogniotrwała kasa na bezludnej wyspie?

Redaktor zamyślił się.

— Zaraz, zaraz — powiedział — jest u pana w pierwszym rozdziale cudowny moment. Razem z Robinsonem i członkami komitetu fala wyrzuca na brzeg różne przedmioty...

— Siekierę, strzelbę, kompas, beczułkę rumu i butelkę z lekarstwem na szkorbut — triumfująco wyliczył pisarz

— Rum proszę wykreślić — szybko powiedział redaktor. — A następnie cóż to za butelka z lekarstwem? Komu ona potrzebna? Lepiej już butelkę atramentu. I koniecznie kasę ogniotrwałą.

— Uparł się pan przy tej kasie! Składki członkowskie doskonale można przechowywać w dziupli baobabu. Kto je stamtąd ukradnie?

— Jakto, kto? A Robinson? A przewodniczący Komitetu? A członkowie? A komisja rewizyjna?

— Czyżby ona też się uratowała? — nieśmiało zapytał Mołdawancew.

— Uratowała się.

— Może i stół prezydialny również fala wyrzuciła? — złośliwie zapytał autor.

— Nie-za-wod-nie! Trzeba przecież ludziom stworzyć odpowiednie warunki pracy. No, jeszcze karafkę z wodą, dzwonek, sukno na stół. Sukno niech fala wyrzuci jakiekolwiek. Może być czerwone, może być zielone. Nie chciałbym ograniczać praw twórczości artystycznej. Ale, przyjacielu, przede wszystkim — należy pokazać masy. Szerokie rzesze pracujących.

— Fala nie może wyrzucać mas na brzeg — upierał się Mołdawancew. — To już będzie zupełnie niezgodne z założeniami. Proszę tylko się zastanowić! Fala, która nagle wyrzuca na brzeg kilka dziesiątków tysięcy ludzi! Koń by się uśmiał...

— Właśnie, odrobina zdrowego, krzepiącego śmiechu — wtrącił redaktor — nigdy nie zaszkodzi.

— Niestety, fala tego nie może uczynić!

— Dlaczego fala? — zdziwił się nagle redaktor.

— A w jakiż inny sposób masy dostaną się na wyspę? Przecież to wyspa bezludna?!

— Kto panu powiedział, że bezludna? Pan coś poplątał. Wszystko jasne jak księżyc. Istnieje wyspa, lepiej nawet półwysep. Tak będzie właściwiej. I tam mają miejsce interesujące, oryginalne przygody. Prowadzi się robotę związkową, czasem nawet niedość energicznie. Aktywistka ujawnia cały szereg niedociągnięć, no, choćby w dziedzinie zbierania składek członkowskich. Pomagają jej w tym szerokie rzesze. I przewodniczący, który w międzyczasie wyraża skruchę. Na zakończenie można dać walne zebranie. To będzie niezwykle efektowne właśnie w sensie artystycznym. No i już.

— A Robinson? — bełkotał Mołdawancew.

— Aha! Dobrze, że pan mi przypomniał. Ten Robinson mi się jakoś nie widzi. Wyrzucić go. Niedorzeczna, niczym nieusprawiedliwiona, postać mazgaja.

— Teraz już rozumiem — grubym głosem odpowiedział Mołdawancew — jutro całość będzie gotowa.

— No, wszystkiego... Niech pan pisze. Jeszcze jedno, u pana na początku powieści jest katastrofa okrętowa. Wie pan, nie trzeba katastrofy. Obejdzie się bez niej. Będzie nawet ciekawiej. Mam rację? No, więc dobrze. Uszanowanie.

Redaktor został sam i radośnie się zaśmiał.

— Nareszcie — zawołał — będę miał prawdziwą, pełnowartościową powieść z przygodami.

ZASADY i KWASY

LEON PASTERNAK



Leon Pasternak w karykaturze Jerzego Zaruby

Siuchta

Nieśmiertelny duch sanacji
siuchta, sitwa, klika, klan!
w zakamarkach demokracji
obłąkańczy wiedzie tan,

Nóżka nóżkę tu i ówdzie
wspiera, jak wspierała wprzód,
rączka, rączkę myje znów gdzieś,
lecz nie złazi z rączki brud...

Oblepiła żłoby tłuszcza
żyjąc sobie ponad stan
i nikogo nie dopuszcza
siuchta, sitwa, klika, klan!

Masz protekcję? Bo inaczej
musisz wkupić się co krok.
Chyba — nosisz w klapie znaczek —
wtedy jesteś też swój chłop...

Och i mnie się czasem zdarzy
(chociaż rzadko!) wdepnąć tam...
„Własne brudy, podłość, kłam.
Znam zanadto dobrze znam..."

Wiosenny wiatr

Idą przede mną ze szkoły dziewczęta
a każdej nie więcej jak... mnaście lat,
furkoce płaszczyk, szaliczek, sukienka,
gna nas uliczny, wiosenny wiatr!

Hop! Przeskakuję cieniutkie strużki
wody, co ciurka srebrzysta z rynien,
wiatr gdzieś wysoko odsłania nóżki...
— Cóżem ja winien?

Pędzę, zaglądam ksiutkom przez ramię,
„Słuchaj dzieweczko a ona nie słucha..."
Nawet się nie chce spojrzeć tej—damie
na mnie brzydkiego, śmiesznego starucha.

A wiatr, zataczając się w śmiechu, liznął
łzę, co mi smętnie spływa spod rzęs i
— zdala już — igra frywolnie bielizną
noszoną na wiosnę w żeńskiej pensji.

Choć za to ci, wietrze wiosenny, dzięki!
Bo się figlarzu mój tylko zastanów:
Cóż ponad wdzięki przykrótkiej sukienki
dla starszych panów—erotomanów...?

Z CYKLU: „BYLI LUDZIE"

Nowator

Był nowatorem — jakich mało,
papieżem całej awangardy,
kto tylko pisnął nań nieśmiało
miażdżony głazem był pogardy!
On mówił gromko: „Idą czasy,
kiedy mej władzy wzejdzie kościół,
gdy ma poezja wejdzie w masy,
narodu stanie się własnością!"

I ruszył drwiący czas z kopyta,
ćwierć wieku jakoś przeszło w sumie...

— — — — — — — —

Jak nikt nie czytał — nikt nie czyta,
jak nie rozumiał — nie rozumie.

ZASADY I KWASY

W niedługim czasie ukaże się nowy zbiór satyr Leona Pasternaka pt. „Zasady i Kwasy". Z książki tej wyjmujemy kilka wierszy i fraszek.

Satyryk

Był satyrykiem — jakich mało,
nie podlizywał się rządowi,
wygarniał prawdę jak przystało
nowemu by Juwenalowi.

Lecz kiedy lud obalił rządy
i wskazał drogę swym tyranom,
on krzywd niepomny, nierozsądny,
w obronie dawnych wrogów stanął!
Nie spostrzegł, pióra krusząc ostrze,
że sprawa inny wzięła obrót...

— — — — — — — —

Że walczy wcale nie o postęp,
lecz o — reakcji krwawy powrót.

Fraszki

Komunikat meteorologiczny

Z ponad tundr syberyjskich mroźne wichry płyną,
marzną ludzie straszliwie za „żelazną kurtyną".
A nie mówiłem?!
A nie miałem racji?!
Oto są skutki wschodniej orientacji!!!

Przepowiednia

O, Pani! Poznawszy twe nałogi,
pozwól, bym przyszłość powiedzieć ci mógł:
„Jeśli tak chętnie przyprawiasz rogi,
— to sama kiedyś pójdziesz na róg."

Na literata X

I.

Ideologia?
Postępowa.
Legitymacja?
Ach! Partyjna.
Forma utworów?
Salonowa.
A treść?
Tak samo reakcyjna.

Na literata Y

Pisarz wysokiej klasy?
Tak. Od „Przeglądów prasy."

Rozmowa z dozorcą

Nie trza dowodzić. Sam wiem o tem.
Żem parafianin. Nie globtrotter.

Byłem w Paryżu, Hawrze, Dieppie,
wszędzie dobrze — w domu najlepiej.

Szwajcarię znam jak własną kieszeń.
Dlatego chyba się powieszę.

Znam ja Murzynki, znam i gejsze.
Nie lubię. Polki przyjemniejsze.

Myślałem. Poznam świat i ludzi.
Poznałem. Dość mam. Już mnie nudzi.

Marzyłem: miasta, porty, dworce...
Kocham teraz mego dozorcę.

I chociaż dzieli nas pół świata,
widzę: — właśnie schody zamiata. —

„Czołem! Jak się Panu powodzi?
Bo mnie tu smutno. Chcę do Łodzi..

Może tak skoczym na kielicha?
Na róg. Gdzie dobra jest zagrycha?

Bo za żelazną tą kurtyną
Do picia dają jakieś wino...

Widzi Pan. wiem, że jestem śmieszny,
może naiwny, nawet grzeszny,

bo mi na pewno tych wojaży .
zazdrości wielu. Nie śmie marzyć.

Lecz mnie coś chwyta tak czasami, .
że darłbym ściany pazurami

za tą zburzoną Marszałkowską,
za Łodzią — ryms! — i za Piotrkowską,

kiedy zahuczy syrenami
kiedy zadzwoni tramwajami...

Mówię to prosto. Czasem sądzę,
że tracę próżno czas, pieniądze,

Choć mam Mont - Blanc z każdego kąta.
Gdy ja wolałbym — choć Giewonta!

Więc do widzenia, drogi Panie...
Wiem. Orzechowski... szanowanie!

Łażęgi dość już po tym świecie.
Wracam wkrótce na swoje śmiecie."

Antoni Trepiński

Proszę o »PANA TADEUSZA«

W tej chwili w księgarniach sortymentowych można wszędzie dostać „Pana Tadeusza". W okresie jednak pięciu miesięcy pierwszej połowy roku szkolnego 1946/7, młodzież, nauczycielstwo i ludność wiejska, dopytująca się najczęściej o najpopularniejszą książkę polską po księgarniach, otrzymywała informacje:

— Nie ma „Pana Tadeusza"!

— Książka jest całkowicie wyczerpana.

— Były po wojnie cztery wydania i zostały szybko rozsprzedane.

Nie potrzeba mocniejszego przykładu anormalności stosunków na naszym rynku wydawniczym, zgoła niesamowitych na odcinku papierniczym. Jedyną bowiem przyczyną długotrwałej niemożności otrzymywania „Pana Tadeusza" w pełni sezonu szkolnego był brak przydziału papieru dla wydawców, którzy zabiegali o niego w większych ilościach.

Kwestia papieru jest dziś decydująca dla ukazywania się wydawnictwa. Wprawdzie mnóstwo książek wychodzi z pominięciem urzędowych dróg gospodarki papierniczej, lecz co do „Pana Tadeusza", to nikt go nie wyda w aptekarskiej ilości, bo książka kalkulowałaby się zbyt drogo. Przy tym mały nakład utonąłby bardzo szybko wśród potrzeb rynku czytelniczego.

Przykład charakteryzuje zarazem stopień głodu książki polskiej. Chodzi tu wszakże o dzieło, które osiągnęło najwyższy nakład w języku polskim, we wszystkich czasach. Jeżeli odczuwa się brak egzemplarzy książki, w którą domy polskie zaopatrzone są bardziej niż w inne, to cóż mówić o nowo przepisanych podręcznikach, potrzebniejszych masowo i gwałtowniej od lektur klasyków?

O ile w literaturze światowej najczęściej wymienianym nazwiskiem jest Bonaparte i o nikim nie wypisywano równie wiele co o Napoleonie, o tyle w literaturze polskiej prym dzierży Mickiewicz.

Powtarza się to nazwisko w omówieniach twórczości, powtarza się przede wszystkim w dziełach, pożądanych ogólnie jako słowo mieszkające między nami.

×

Pierwsze wydanie „Pana Tadeusza" liczyło 3.000 egzemplarzy nakładu. Z pierwodruków dzieł wieszcza spotyka się w obiegu antykwarskim egzemplarze dość często, tak, że nie sposób porównywać „Pana Tadeusza" z innymi pierwodrukami, na przykład z wydaniem wileńskim „Poezji" 1822 (338 egzemplarzy!), albo z wydaniem poznańskim „Poezji", 1828 (247 egzemplarzy) *). Nawet wydanie petersburskie „Poezji" (1829) jest o wiele rzadsze, mimo nakładu 2.000 egzemplarzy, gdyż mało uchowało się z rąk ówczesnych subskrybentów, rozproszonych m. in. w dawnych dworach, niewspółmiernie mniej, aniżeli z rąk emigracji polskiej po powstaniu listopadowym.

— Liczę specjalnie, ilekroć mam w ręku pierwsze wydanie „Pana Tadeusza" — wyznaje antykwariusz, rozmiłowany w starych drukach polskich. — Zdarzyło mi się to od roku wybuchu wojny, więc w ciągu ośmiu lat aż 22 razy. Były przeważnie mocno zaczytane, zdefektowane. Najładniejszy jaki miałem w ręku, zaopatrzony był we wdzięczną dedykację Ignacego Chrzanowskiego dla ucznia Józefa Ujejskiego. Widziałem go w koszu na gruzach Warszawy w roku 1945, między szabrunkiem. Cenę pełnych dwu tomików ustaliłbym dziś na minimum 5.000 zł. Pierwsze wydania naszych wieszczów są bardzo poszukiwane.

Zewnętrzna strona pierwszego wydania „Pana Tadeusza" odznacza się m. in. smaczkiem, podkreślającym napoleońskie tło akcji „historii szlacheckiej z r. 1811 i 1812". Księga jedenasta zaczynająca się od apostrofy „O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju!", poprzedzona jest wizerunkiem „cesarza Francuzów", wykonanym z drzeworytu. Czy nie należałoby go powtarzać w każdym nowym wydaniu „Pana Tadeusza"?

*) Nakłady pierwszych dzieł wieszcza były mało co wyższe od podanych tutaj cyfr egzemparzy z list „przedpłatników". Jak powiada Karol Estreicher: „A. Mickiewicz, ...lubo słynął jako poeta, jednak żaden księgarz nie podjął się nakładu jego poezji, chociaż je ofiarowywał za darmo" („Bibliografia polska od 1800 do 1862. 1863). Jeszcze nakładem własnym autora wydrukowane zostały dwa wydania „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" (1832 — 1833)!

Tak samo jak portret Mickiewicza wedle pysznego sztychu Antoniego Oleszczyńskiego... Jeżeli zaopatrywać przedruki w portret autora „Pana Tadeusza" dzisiaj, to właśnie w ten, a nie inny — z pierwszego wydania paryskiego, z pietyzmu dla pamiętnego wydarzenia kulturalnego 1834 r.

Każdy zdrowy, pełnowartościowy pisarz, wyrosły ze swego narodu i zrośnięty ze społeczeństwem, pisze zwykle conajmniej jedną książkę dla młodzieży (jak Sienkiewicz „W pustyni i w puszczy"). Powinien pomyśleć w rozwoju swej twórczości choć raz specjalnie o młodzieży (jak Żeromski, który sam dokonał wyboru ze swych dzieł w dwóch tomach: „Dla młodzieży").

Lecz wielkość, nieśmiertelność i popularność mierzy się stopniem przemawiania do wszystkich, umiejętnością trafiania do serc wszystkich.

Tak wzrusza, podnosi i kształci wszystkich „Pan Tadeusz", bo Mickiewicz miał w sobie Polskę całą i ludzkość...



Portrecik Napoleona z pierwszego wydania „Pana Tadeusza"

×

W księgarstwie polskim po wojnie panuje ogromny brak wykwalifikowanych pracowników. Toteż nic dziwnego, że w pewnej księgarni klienci na pytanie:

— Czy jest „Pan Tadeusz"? — otrzymywali machinalnie odpowiedź ekspedientki:

— Nie, już u nas nie pracuje.

Gdy już trzeci klient zgłosił z tego powodu reklamację, właściciel sklepu uznał za właściwe zwolnić panienkę z pracy. W czarnowłosej główce bowiem Adam Mickiewicz nie mógł zastąpić uporczywej pamięci o zwolnionym przedtem pracowniku, imieniem Tadeusz.

List do Redakcji

ZAPOMNIANA MOGIŁA

W kwietniu 1945 r. zmarł w Piasecznie śp. Wacław Sieroszewski i został pochowany na miejscowym cmentarzu parafialnym.

Mogiła w stanie zaniedbania, na niej pochylony mały, drewniany krzyżyk i tabliczka blaszana z wyblakłym napisem — oto mogiła wielkiego pisarza, działacza niepodległościowego, zesłańca sybirskiego — socjalisty.

Czyżby społeczeństwo zapomniało już o zasługach Sieroszewskiego nie tylko jako działacza, ale i pisarza? — Tak nie jest, wartość literacka wiekopomnych dzieł Wacława Sieroszewskiego jest i obecnie ceniona, skoro „Czytelnik" wznawia wydawnictwo jego powieści. Niedawno ukazał się I tom „Na kresach lasów", zapowi[illegible]ziano wkrótce wydanie „Zamorsk[illegible]abła". — Jednakże o mogile [illegible] pisarza nikt się do dziś dnia [illegible]czył.

Zwracam się przeto do Szanownej Redakcji „Tygodnia" z uprzejmą prośbą, czy nie zechciałaby podjąć się na łamach swego pisma akcji zbiórki funduszów na budowę pomnika na grobie śp. Wacława Sieroszewskiego. Trumna z Jego zwłokami winna spocząć na Powązkach w Kwaterze Zasłużonych, gdyby jednak decyzja miarodajnych czynników wypadła inaczej, pomnik należałoby postawić na mogile w Piasecznie.

Jako inicjator, przesyłam czek na 1.000 zł.

Mam nadzieję, że apel mój nie pozostanie bez echa, lecz poruszy sumienia rodaków. Nie wątpię, że i „Czytelnik", wydający obecnie dzieła wielkiego pisarza nie odmówi swego udziału w kosztach budowy pomnika.

WŁADYSŁAW ŚLIWIŃSKI

TAKA ROZMOWA BYŁA...

2*).

Gdy towarzystwo, w którym się znalazłem, stwierdziło, że Maritain i Zawieyski, że pisarze katoliccy w ogóle piszą zbyt „ciemno i laurowo", aby rozumiały ich szerokie masy czytelników, ktoś rzekł:

— Bo pisarstwo, i katolickie i każde inne, jest przede wszystkim związane z ogólnym poziomem kultury...

— Ba! — odpowiedział mu inny: — Poziom kultury! Kultury! Ładne to słówko. Ale co ono właściwie mówi? Konia z rzędem temu, kto mi wytłumaczy, jasno i wyraźnie, co to jest kultura.

Dyskusja się rozpaliła. Zaczęto rozprawiać o tym, co to kultura w ogóle, a co to cywilizacja, a co to kultury narodowe w szczególności. Czy istnieje kultura wszechludzka? Czy bywają kultury klasowe. Czy można mówić o kulturze chłopskiej, ludowej, proletariackiej, robotniczej, mieszczańskiej, szlacheckiej? Czy może na przykład pojęcie „kultury" mieszczańskiej jest błędne i nieodpowiednie, ponieważ przez kulturę mieszczańską rozumiemy zespół cech ujemnych, a kultura nie może być czymś ujemnym, tylko dodatnim, pozytywnym... Ktoś zapytał: co właściwie sprzyja rozwojowi kultury — jaka atmosfera i jakie czynniki? Dlaczego kultury rozkwitają i upadają?

— Panowie — ktoś powiedział — zaczynamy mówić nadto abstrakcyjnie. Skonkretyzujmy zagadnienie. Weźmy jakiś fakt namacalny, uchwytny. Tylko na faktach może się opierać rzetelna dyskusja.

Więc zatrzymano się na kulturze polskiej. Rozpoczęto od ewolucji, jakiej musi ulec na skutek zasadniczych przemian, które zachodzą w strukturze społecznej naszego narodu.

— Gospodarzem w Polsce — oświadczył ktoś — stał się chłop i robotnik. Oni to, wraz z pracującym inteligentem, biorą w swe ręce przyszłość narodu. Musi to wywrzeć decydujący wpływ na rozwój naszej kultury.

Posypały się takie, pospolite dziś słowa, jak: uspołecznienie kultury, uprzystępnienie jej najszerszym masom, budowa kultury na podstawach demokratycznych, odbudowa kultury polskiej, przebudowa kultury polskiej, planowanie kulturalne.

*) Por. felieton „Tygodnia" w poprzednim numerze.

— Czy można kulturę planować — ktoś zapytał — jak się planuje wydobycie węgla? Kultura, to przecie raczej sprawy ducha, a spiritus flat, ubi vult.

— Za pozwoleniem — przerwał inny — kultura, to również sposób życia człowieka i społeczeństwa, warunki w jakich się mieszka, gatunek materiału, z jakiego się robi odzież, nawet dobór potraw, jakimi się człowiek odżywia. Jednemu wystarcza razowiec i ziemniaki niekraszone, inny — jak Francuz — układa takie jadłospisy, by, osiągając doskonałą sprawność organizmu, zapewnić przez to umysłowi i temu, co pan nazywa duchem, żywość, jasność, czynność, lotność. Kultura — to nie tylko „estetycznie" wydany tom poezyj, czytany przez kilku pięknoduchów. Ktoś kiedyś u nas, zjadliwie lecz trafnie, odmalował taki obraz kultury polskiej: z jednej strony stylowy, kolumnowy dworek, z drugiej — dziurawy garnek, zatknięty na opłotkach, a pomiędzy nimi bajoro, gdzie się grzebią kaczki i dzieciaki wiejskie.

— Przesada.

— Niech będzie przesada, ale faktem jest, że kultura — to przede wszystkim dobrobyt materialny, zamożność, jak największe wygody i udogodnienia życia.

— Zajmijmy stanowisko kompromisowe — łagodził ktoś. — Czytałem w jakiejś książce — zdaje się, że te poglądy wypowiedział któryś z niemieckich historyków kultury a popularyzował je u nas bodaj Czarnowski — otóż, czytałem, że w ogóle nie można przeprowadzać utartego podziału na tzw. kulturę materialną i kulturę duchową, dlatego, że takie rodzaje kultury nie istnieją w rzeczywistości, jak nie istnieje osobno ciało i duch, i trwają zawsze w nierozłącznym zespoleniu. Wspaniałe malowidło jest zarówno wytworem ducha artysty, jak i produktem materialnym, na który się składają farby, płótno, ramy. To samo z rzeźbą marmurową, w której duch twórczy nie mógłby bytować, gdyby nie tworzywo kamienne. Tak samo rzecz się ma z najbardziej mistycznym, oderwanym poematem, który przecie musi być utrwalony za pomocą środków materialnych: naprzód papieru i atramentu, potem druku i książki. Nawet religie nie mogłyby istnieć bez widomych, materialnych oznak kultu: świątyń, ołtarzy, posągów, obrazów, szat liturgicznych itp. Z drugiej strony — mawiano, rzecz najbardziej materialna, jest dziełem wytężonej pracy ducha ludzkiego. Słowem, gdyby nie materia, duch ludzki nie mógłby tworzyć kultury.

Ten krótki, a prosty wykład był, jak się zdaje, dosyć przekonywujący. Rozmówcy zamilkli na chwilę, jakby się zastanawiając nad nim.

— Może to i racja — rzekł wreszcie ktoś, ociągając się, rzadko bowiem lubi człowiek przyznać, że został przekonany przez innego: — Ale wróćmy do kultury polskiej. Uważam, że jej największym nieszczęściem jest brak ciągłości, dziwna nietrwałość i przypadkowość. Nasza kultura wciąż się rwie i wciąż zaczyna na nowo. Proszę spojrzeć na kraje skandynawskie albo na Anglię. Jak systematyczna i nieprzerwana jest tam praca pokoleń. Ziarnko do ziarnka... Widziałem w Anglii cottedże, gdzie ten sam ród — bynajmniej nie arystokratyczny — lecz drobnych farmerów mieszka bez przerwy od paruset lat. Jakie to daje poczucie ciągłości kultury, niezniszczalności jej i tradycji. U nas zaś...

— U nas chłopi mieszkają też od pokoleń w tej samej wsi...

— Tak, ale bodaj co drugie pokolenie szaleje jakaś zawierucha, jakaś wojna, która burzy wsie i miasta, i powoduje, że trzeba zaczynać od fundamentów. Jesteśmy wciąż przestrzenią otwartą, na którą ciągle spadają klęski niezawinione przez nas. Jakże w takich warunkach geopolitycznych budować systematycznie kulturę? Fatalizm...

Rozmowa wzięła obrót interesujący. Ale w tym momencie pani domu oznajmiła:

— Dziewiąta. Proszę na skromną przekąskę.

Gospodarz dodał:

— Wódka prosto z lodu.

Towarzystwo powstało z miejsc.

— Ciekaw jestem, jaki będzie jadłospis — zaśmiał się ktoś szczerze: — Czy na sposób kulturalnie francuski, żeby zapewnić umysłowi żywość i sprawność?

Taka rozmowa — jak u Norwida — była o pisarstwie katolickiem i o kulturze. I nie dowiedziałem się nic pewnego ani o jednym, ani o drugiej.

JERZY WYSZOMIRSKI

Sprostowanie: W Nr. 24 „Tygodnia" w felietonie Jerzego Wyszomirskiego mylnie wydrukowano nazwisko autora „Sprzysiężenia" Kiedrzyński, winno być: Stefan Kisielewski.

JAK OSMAŃCZYK JADŁ DYWANY I PODRÓŻOWAŁ Z WŁASNĄ KANAPĄ

Przeciętny Polak, nieznający języka rosyjskiego, uważa, że znakomicie się po rosyjsku porozumie, jeżeli będzie z odrobiną pomysłowości zniekształcał język polski. Dorzuca więc beztrosko tu i ówdzie końcówki „oj", „ja", „tie", „ó" zmienia na „o" i stosuje — rzecz zrozumiała formę „wy". Jeżeli jeszcze rozmieści w możliwie nieprawdopodobny sposób akcenty i okrasi to szeregiem zwrotów rosyjskich, spopularyzowanych przez Wiecha, to jest przekonany, że po rosyjsku mówi świetnie.

Zrozumiale zdziwienie wywołuje fakt, że Rosjanin nie bardzo nas rozumie.

OSTROŻNIE Z KOJARZENIAMI

Gdy pojechałem na konferencję pokojową do Moskwy, zauważyłem z pewnym niepokojem, że zakomita metoda „zniekształcania", nie ułatwia porozumienia.

Zdarzały się sytuacje dość kłopotliwe. Oto miła panienka z obsługi turystycznej hotelu „Moskwa" rozmawia ze mną z czarującym uśmiechem i w ciągu paru minut kilkakrotnie namawia mnie, bym był... — excusez le mot — lubieżny.

Nasuwają mi się zrozumiałe wątpliwości, czy ją dobrze rozumiem. Próbuję zasięgnąć informacji po niemiecku, który to język — jak wiadomo — ma tradycję ułatwiania porozumienia między Słowianami. Okazuje się, że moje wątpliwości są zupełnie uzasadnione, lecz doprawdy, któż mógł się domyślić, że zwrot: „Budtie lubieżny..." oznacza po rosyjsku: „Niech Pan będzie uprzejmy".

W sposób analogiczny niepokoiły mnie przez pewien czas i napawały niesmakiem różne niestosowne a mimowolne skojarzenia fonetyczne, jakie nasuwały mi np. słowa „poiskat", „urzynat" lub „zarzigat". W tłumaczeniu sens tych słów okazywał się zupełnie niewinny — pierwsze z nich oznacza „poszukać", drugie — to „zjeść kolację", trzecie — po prostu „zapalić".

Nie chcę mnożyć tych polsko - rosyjskich nieporozumień, które są stare jak świat światem. Niektóre z nich uwiecznił we wstępie do „Przedwiośnia" Stefan Żeromski, opisując z takim humorem kłopoty Polki, która nie przeczuwała, że „bruki" — to spodnie, a „roża" to z przeproszeniem „morda".

SENSACJA W HOTELU „MOSKWA"

Z tak zwanego jednak obowiązku dziennikarskiego zanotować chcę przygodę, której ofiarą padł w Moskwie znakomity, cenny i t. d. Edmund Osmańczyk. Miły ten publicysta, choć otrzymuje czasem od wdzięcznych czytelników listy, mianujące go agentem Moskwy, nie zna na trzeźwo języka rosyjskiego ani w ząb (Po pijanemu, jak to jest ogólnie stwierdzone — wszyscy Polacy śpiewają swobodnie i bez trudu rosyjskie piosenki).

Osmańczyk przybył do Moskwy na konferencję Wielkiej Czwórki dosyć późno, niemniej osobę jego otaczało już następnego dnia ogólne zainteresowanie. Bynajmniej zresztą nie z powodu znakomitego cyklu „Sprawy Polaków", lecz ze względu na... drewnianą gęś. Tak jest — drewnianą gęś! To wcale nie parafraza Gałczyńskiego, ani dowcipki na temat współpracy z „Przekrojem". Historia była następująca:

Osmańczyk jest młodym i kochającym tatusiem kilkumiesięcznej córeczki. Spacerując po sklepach moskiewskich dostrzegł w jednym z magazynów z zabawkami, pokaźnych rozmiarów drewnianą gęś na biegunach (!), która może młodemu pokoleniu służyć za fotel, stolik no i przede wszystkim ma tę ogromną zaletę, że się huśta. Młodego ojca nie odstraszyły rozmiary tej zabawki (sięgała mu po pas); kupił ją i przywiózł do hotelu. I choć obsługa „Moskwy" widziała już niejedną ekstrawagancję i niewiele ją może zdziwić, przyznać trzeba, że moment wniesienia gęsi na biegunach stał się powszechną sensacją.

Cudzoziemcy robią w Moskwie najróżniejsze sprawunki: kupują ukraińskie i białoruskie koszule, krymskie czapeczki, astrachański kawior, niemieckie aparaty fotograficzne, a także i przede wszystkim futra ze wszelakich zwierząt. Jednak jak

Ze wspomnień moskiewskich
Karola Małcużyńskiego

Moskwa Moskwą żaden cudzoziemski dziennikarz nie zakupił w celach eksportowych drewnianej gęsi na biegunach.

Gdy ten szczególny obiekt wniesiono do hallu, poruszenie było ogólne. Utworzyła się jedyna w swoim rodzaju procesja, którą otwierał laureat „Odry" (z błogim uśmiechem zadowolenia z dobrze spełnionego, ojcowskiego obowiązku), dalej postępował boy hotelowy, trzymając w objęciach nadnaturalnej wielkości wspomnianą gęś, pochód zaś zamykali liczni widzowie, zwabieni niezwykłym widokiem.

Od tego czasu własne osoba Osmańczyka otaczana była ogólnym zainteresowaniem, nie bez domieszki niepokoju.

NIEZWYKŁY BAGAŻ

Na parę dni przed wyjazdem zamawia on bilety na samolot do Berlina. Pada sakramentalne pytanie o ilość bagażu.

— O, niewiele — odpowiada z właściwym mu, czarującym uśmiechem. Jedna walizeczka, maszyna do pisania, gęś i dywan.

Gęś była już znana. Nie wzbudziła więc większego zainteresowania. Sprawa dywanu wymaga krótkiego wyjaśnienia. Osmańczyk jest nie tylko szczęśliwym ojcem, lecz także — co zwykle idzie w parze — wzorowym mężem. Postanowił też kupić dla swojej żony niewielki, skromny, ale gustowny dywanik. Ponieważ — jakeśmy powiedzieli — nie znał rosyjskiego i stosował również metodę „zniekształcania", wyliczając swój bagaż powiedział na końcu „diwán". Zaakcentował to słowo na ostatniej sylabie, ogromnie się ciesząc, że robi takie postępy w rosyjskim.

Urzędniczka, która notowała dane, zaniemówiła na chwilę i spojrzała rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

— Szto takoje?!

— Walizka, maszyna do pisania, gęś i „diwán" — powtarza z niezmąconą pogodą Osmańczyk.

Dokoła stolika zbiera się parę osób, słyszących tę rozmowę. Urzędniczka jest zdziwiona i nie może zrozumieć.

— Na szto Wam diwan? — zapytuje.

Dziwi się z kolei Osmańczyk.

— No, cóż. Diwán — słowo „nastojaszczy" utkwiło mu w pamięci i powiększyło znakomicie słownik.

Urzędniczka okazuje lekką nerwowość, ale usiłuje rzeczowo polemizować.

— „Diwán" — powiada — nie zmieści się do samolotu. Nie wiem, czy przejdzie przez drzwiczki.

— Jakto? Przecież to malutki „diwán". Ot taki — tu następuje odpowiedni gest!

Panienka bardzo kręci głową, ale w końcu notuje. Niestety Osmańczyk chce rozwiać zupełnie jej wątpliwości i śpieszy z jeszcze jednym wyjaśnieniem.

— Ja go w ogóle zwinę w rulon i wezmę pod pachę.

NA SALI PANIKA

Tu już wybucha bomba. Urzędniczka zrywa się od stolika i ma taką minę, jakby chciała uciec. Ktoś z przysłuchujących się, nie wytrzymuje nerwowo i wybucha śmiechem.

Po chwili zamieszania nieporozumienie się wyjaśnia. Okazuje się, że „diwán — to po rosyjsku... k a n a p a!

Teraz i nas ogarnia wesołość. Rozumiemy zachowanie się urzędniczki. Pogodziła się z gęsią na biegunach, ale trudno jej było przyjąć do wiadomości fakt, że ktoś podróżuje samolotem z własną kanapą.

Gdy w końcu zdecydowała się na zanotowanie tak niezwykłego bagażu, otrzymała uprzejmy komentarz, że kanapa ta nie zajmie wiele miejsca, gdyż zostanie zwinięta w rulon i wniesiona pod pachą. To już przechodziło granice zdrowego rozsądku i panienkę ogarnęło uczucie paniki.

* * *

Nie skończyło się zresztą na tym. Jako człowiek dociekliwy i gruntowny, zapragnął Osmańczyk dowiedzieć się w końcu, jak powiedzieć po rosyjsku „dywan".

Oświadczono mu, że... „kawior"!

Przyznał się później, że z trudem powstrzymywał się od złożenia rewelacyjnego oświadczenia, że my w Polsce „kawior" po prostu jemy.

I poszlaby po Rosji głucha „wieść między ludem" o dziwnym kraju, gdzie podróżuje się na drewnianej gęsi, trzymając zwiniętą kanapę pod pachą, posilając się w chwilach czczości dywanami.

Gdy wieczorem siadaliśmy do kolacji i gdy Osmańczyk wyraził chęć zamówienia na zakąskę kawioru, uprzedziłem go gwałtownie, że kawior po rosyjsku to „ikra".

Może nawet zrobiłem to zbyt gwałtownie, ale nie mogłem opanować obawy na myśl że zamówi jakiś użyteczny mebel w nadziei, zamknięcia błędnego koła nieporozumień językowych.

Karol Małcużyński

NOWE KSIĄŻKI

Z. E. V. — **Wspomnienia Warszawskie go Ewangelika z czasów okupacji niemieckiej od 1939—1944 r.** Strażnica Ewangeliczna, Bytom, Plac Klasztorny 4-a.

Orzeszkowa Eliza. — Cham — powieść. Ze wstępem prof. Juliana Krzyżanowskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Mickiewicz Adam. — Sonety Krymskie. Opracował i wstępem opatrzył prof. Stanisław Furmanik. Spółdzielnia Wyd. „Książka".

Żurakowska Zofia. — Pójdziemy w świat. Książka dla młodzieży. Wiązanka ważnych życiowych problemów podana w formie przystępnej, lekkiej i ciekawej. Spółdz. Wydawn. „Książka".

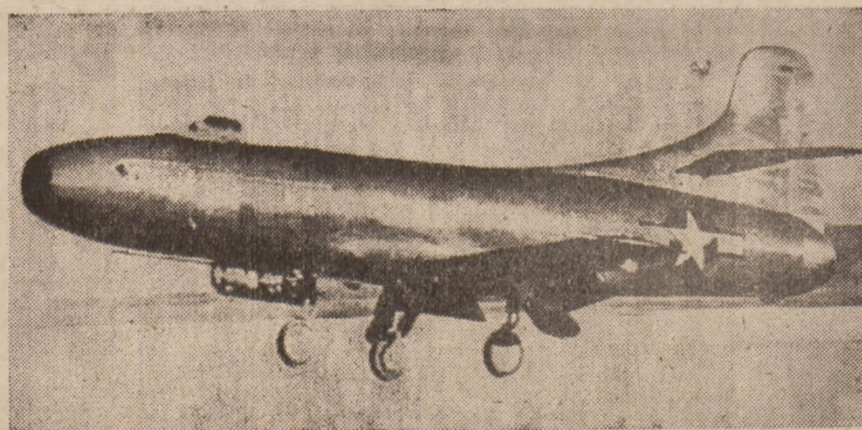
Kott Jan. — O społecznym awansie. Autor broszury stwierdza, że jedną ze zdobyczy demokracji ludowej, jest możliwość awansu społecznego każdej jednostki. Spółdzielnia Wyd. „Książka".

Piętak Stanisław. — Linia ognia. Wybór liryk, w których przy wtórze przyfrontowych przeżyć katowanej przez okupanta ludzkości przewija się sielanka miłosna o niezwykłych walorach powieści poetyckiej z radosnym finałem wyzwolenia. Spółdz. Wyd. „Książka".

Zagórski Jerzy. — Wieczór w Wieliszewie (tom wierszy). Spółdz. Wydawn. „Książka".

Gomułka Władysław (Wiesław). — **O jedność klasy robotniczej.** Spółdz. Wydawn. „Książka".

Samolot atakuje „ścianę głosu"



„Skystreak" („Niebieska smuga") — nowy samolot Marynarki Stanów Zjednoczonych służyć ma do pokonania między-głosowej rozpiętości szybkości. Obecnie przeprowadzane są próby, w czasie których samolot ten o kształcie cygara ma dać odpowiedź na pytanie, co dzieje się z samolotem lecącym z szybkością 500 do 800 mil na godzinę.

Długość tego samolotu wynosi 35 stóp, rozpiętość skrzydeł 25 st., a moc jego równa się czterem motorom olbrzymiego bombowca Superforteca B-29.

KRONIKA KULTURALNA

POMIĘDZY St. Ryszardem Dobrowolskim z „Nowin Literackich" a Jerzym Waldorffem z „Tygodnika Powszechnego" toczy się spór. Poszło o artykuł Waldorffa pt. „Warszawa", który został poddany ostrej krytyce przez Dobrowolskiego. Mimojazdem felietonista „Nowin" rozprawił się niemniej gwałtownie z „przeszłością" Waldorffa. Ten z kolei odpowiada mu w artykule pt. „Donoszę, panie naczelniku", nie szczędząc docinków. „Kto winowat, kto praw — sudit nie nam", jak mówi bajka Kryłowa. Jest wszelako w riposcie Waldorffa argument, z którym trudno się zgodzić: „O sobie mogę powiedzieć — pisze Waldorff — że w istocie zmieniłem zapatrywania polityczne... Nie wykluczę to, że w przyszłości może znów zmienię zapatrywania, gdyż — moim zdaniem — zapatrywania polityczne obywateli winny być funkcją sytuacji politycznej kraju". Takie ujęcie rzeczy przypomina postawę Maćka nad Maćkami, o którym Mickiewicz powiada: „Stąd to, że przechodził partyi tak wiele, nazywany był kurkiem na kościele, że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał". Albo niemniej „ideowe" stanowisko Podczaszyca z tegoż „Pana Tadeusza": „Pod czasy wziął tytuł markiza, bo natenczas w modzie był tytuł markiza. Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty, tenże sam markiz przybrał tytuł demokraty; wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem, demokrata przyjechał z Paryża baronem; gdyby żył dłużej, może nową alternatą z barona przechrzciłby się znowu demokratą". Zapatrywania polityczne można zmieniać; co więcej, człowiek, który nie przechodzi ewolucji w swoich poglądach, niewielką stanowi wartość. Wszelako zapatrywania nie mogą być „funkcją sytuacji", lecz wynikiem procesów ideowych i duchowych, trudnych nie raz i skomplikowanych. Bywa też, że człowiek — wbrew „sytuacji" — pozostaje wierny swym „zapatrywaniom" i gotów tę wierność przypieczętować ofiarami.

„WSPOMNIENIA o Karolu Szymanowskim" Jerzego Mieczysława Rytarda są bezpretensjonalne i pełne prostoty, toteż czyta się je przyjemnie. Rzecz jasna, że gdy się pisze o człowieku, z którym się wiele lat obcowało, niesposób uniknąć wzmianek o sobie. Jednakże Rytard występuje w swoich „Wspomnieniach" raczej jako obserwator — przede wszystkim czasów zakopiańskich Szymanowskiego. Interesujące są niektóre intymności z życia wielkiego kompozytora, jak szczegóły, dotyczące „Harnasiów", oraz pewne jego słabostki i ułomności, które dyskretnie odsłania Rytard, a którym podlega przecie by największy człowiek. Tak, Szymanowski nie był wolny od uczucia zazdrości, jak tego dowodzi historia libretta do „Harnasiów" i „Króla Rogera", tudzież dzieje budowy chałupy góralskiej Rytardów w Zakopanem. A może zazdrość była smutnym przejawem pożerającej go gruźlicy? **St. Łatka**

W CZERWCU br. mija 75-ta rocznica śmierci Stanisława Moniuszki († 4 czerwca 1872 w Warszawie). Jakie miejsce w historii muzyki polskiej zajmuje dziś ten wielki kompozytor narodowy? Zapewne na ten temat wypowiedzą się specjaliści muzykolodzy. Dotychczas Moniuszko stawiany był obok Chopina. Możliwe jednak, że Karol Szymanowski przewyższył go geniuszem i znaczeniem. Próbę rewizjonistyczną wobec twórczości Moniuszki podejmuje w związku z jego rocznicą, K. Stromenger w łódzkiej „Panoramie" (Nr 25). Zastanawia się mianowicie nad tym, czy żywioł społeczny w operach Moniuszki — jego „świat staroszlachecki" — odpowiada dzisiejszym czasom. I dochodzi do wniosku pozytywnego: „Halka" np., zdaniem Stromengera — „to historia krzywdy, wyrządzonej dziewczynie z ludu", a „Hrabina" jest „ironią na świat salonów". Ogólnie biorąc — „sentyment kompozytora jest wyraźnie po stronie ludu i zaścianka". Mimo dodatnie wyniki tego rodzaju rewizjonizmu, nie wydaje się, żeby kryteria, zastosowane przez Stromengera, były właściwe przy ocenie sztuki muzycznej. Z tego stanowiska rzecz ujmując, do większości oper europejskich należałoby się odnieść negatywnie, a pn. jeden z najbardziej umiłowanych kompozytorów rosyjskich — Czajkowski — mógłby być uznany niemal za „reakcjonistę", ponieważ z „Eugeniusz Onegin" i „Dama Pikowa", to świat „dziedziców", „salonów" i nawet pasożytów społecznych. Tymczasem Czajkowski jest po dziś dzień jednym z najpopularniejszych kompozytorów w Związku Radzieckim.

„SPOŁEM" NAJWIĘKSZA SPÓŁDZIELNIA W POLSCE

Na czym polega kontrola społeczna „Społem".

Mało jest chyba ludzi, którzy nie spotkaliby się w Polsce z nazwą i instytucją „Społem". Nie wiele jednak osób prawdopodobnie uświadamia sobie, że „Społem" jest n a j w i ę k s z ą s p ó ł d z i e l n i ą w Polsce.

Jaka treść kryje się za tym zdaniem: „Społem największą spółdzielnią".

Każda spółdzielnia, jak wiadomo, to nie zbiurokratyzowana instytucja, lecz żywy organizm, zrzeszający pewną grupę osób dla zrealizowania postawionych przez nich wspólnych celów. Każda spółdzielnia musi przeto służyć potrzebom swych członków. Nie członkowie potrzebni są spółdzielni, lecz przeciwnie spółdzielnia jest niezbędna dla członków, jako organizacja do wspólnego, a więc łatwiejszego pokonywania różnych trudności przy zaspakajaniu swych potrzeb.

Każda spółdzielnia poddana jest stałej kontroli swych członków. Członkowie zbierają się na walnych zgromadzeniach, dla stałej zaś kontroli wybierają spośród siebie radę nadzorczą, która bada i pilnuje, czy ich spółdzielnia działa w interesie ogółu członków, czy aparat spółdzielni się nie biurokratyzuje. Również kierownictwo spółdzielni pochodzi z wyboru i jeśli spełnia źle swoje obowiązki, może być każdej chwili odwołane przez tych którzy je wybrali.

Otóż „Społem" jest właśnie taką spółdzielnią, wprawdzie spółdzielnią olbrzymią — spółdzielnią zrzeszającą nie osoby fizyczne, lecz inne spółdzielnie, ale tym niemniej jest instytucją opartą na zasadach spółdzielczych.

Jakie z tego wynikają konsekwencje? Przede wszystkim więc „Społem" służy potrzebom zrzeszonych w nim spółdzielni. „Społem" jak sama nazwa wskazuje („Społem" Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P.) jest Centralą Gospodarczą dla spółdzielni,, dostarczając im hurtowo towary, zawierając w tym celu centralne umowy i prowadząc produkcję własną, skupując od spółdzielni ziemiopłody, artykuły rolnicze, i t. d.

Władze „Społem", jak w każdej spółdzielni, pochodzą z wyboru. W „Społem" odbywa się walne zgromadzenie członków i funkcjonuje rada nadzorcza. Jednakże spółdzielnia o tak wielkich rozmiarach, licząca kilkaset placówek w terenie i kilka tysięcy członków, nie może, ze względów technicznych, powołać przedstawicieli swych członków na jedno centralne walne zgromadzenie. Toteż zgromadzenie oparte jest na zasadach trójstopniowości. Corocznie w każdym powiecie odbywają się t. zw. „Zgromadzenia oddziałowe", w których biorą udział przedstawiciele wszystkich zrzeszonych spółdzielni, znajdujących się w terenie danego powiatu. Przedstawiciele ci rozpatrują bilans i sprawozdanie zarządu, omawiają plan pracy oraz inne ważniejsze sprawy zarówno swego terenu, jak i dotyczące całości „Społem"; wybierają t. zw. „radę oddziałową", która jest stałym organem kontrolnym i opiniodawczym w stosunku do miejscowych placówek „Społem".

Wreszcie zgromadzenie to wybiera delegatów na Zjazd Wojewódzki, który nosi nazwę „Zgromadzenia okręgowego". Na zgromadzenie to zjeżdżają się przedstawiciele spółdzielni, delegowani ze wszystkich powiatów i omawiają podobnie, jak na zgromadzeniu poprzednim zarówno sprawy związane z działalnością „Społem" na ich terenie, jak i w skali ogólno-polskiej. Wybierają również lokalną radę okręgową, która spełnia funkcję kontroli w stosunku do placówek „Społem" na szczeblu wojewódzkim i wreszcie wybierają również delegatów na Główny Zjazd.

Gdy odbędą się już we wszystkich województwach zjazdy okręgowe, wówczas zbierają się delegaci z województw na Główny Zjazd Delegatów, który jest już tym właściwym walnym zgromadzeniem członków „Społem". Główny Zjazd po omówieniu wszystkich bieżących zagadnień, wybiera z kolei radę nadzorczą, a ta ostatnia powołuje zarząd.

W ten sposób „Społem" broni się przed zbiurokratyzowaniem, poddane jest stałej, bieżącej kontroli zainteresowanych spółdzielni, które mogą zareagować na wszelkie próby działalności niezgodnej z interesem zrzeszonych mas członkowskich ludności pracującej.

J. Wirski

Dlaczego wstrzymano eksport ziół polskich za granicę?

Jak doniosła prasa, nasz bardzo pięknie zapowiadający się spółdzielczy handel zielarski z zagranicą dostał obuchem po głowie. Polska mogłaby sobie pogratulować, że po kilkuletniej przerwie zdołała przemysł i handel zielarski podnieść z ruin; więcej, że zdołała go zorganizować na nowo. Bo nasze zielarstwo przedwojenne stało na tak niskim poziomie, że w ogóle o racjonalnej gospodarce tym artykułem nie było mowy.

W tej dziedzinie gospodarstwa społecznego panował dziki prymityw.

Rozporządzając jednym z najlepszych surowców w świecie i w masie tak olbrzymiej, że moglibyśmy np. rumiankiem naszym zasypać pół Europy, właśnie, jakby na ironię sprowadzaliśmy ten rumianek z Niemiec, Czechosłowacji w stanie odpowiednio dla celów użytkowych spreparowanym.

Kupowaliśmy za drogie pieniądze... własny surowiec, w lepszym wypadku półfabrykat.

I to drugi paradoks naszych przedwojennych stosunków gospodarczych.

A teraz historia trzeciego paradoksu.

Rolniczo - handlowe placówki spolemowskie zorganizowały po wszystkich zakątkach naszego kraju gęstą sieć skupu ziół.

Rozwinął się nowocześnie postawiony aparat przetwórczy; nawiązano, jak nigdy przed tym, szerokie stosunki z odbiorcami zagranicznymi; wykształcono specjalnych instruktorów, którzy pouczali chętnych, jak należy racjonalnie przystępować do zbierania ziół, suszenia, przechowywania i t. d.

Włożono wiele trudu, zapału i wiedzy.

Akcja zielarska nabrała rozmachu. Miliony, które marnowały się po naszych rowach przydrożnych, lasach, polach, łąkach, miały teraz pomnożyć bogactwo narodowe.

Wytworzyła się prawie nieznana, nowa dziedzina eksploatacji dóbr krajowych.

I nagle w tym kole rozpędowym coś zgrzytnęło.

Stop! Wywóz ziół ustał, a więc ustał także i skup ziół, a to wskutek nieprzemyślanej decyzji.

Rozważmy następstwa owych nieprzemyślanych dobrze decyzji.

1. Zamówione przez klienta zagranicznego towary nie odeszły w terminie. Skutek? Zarwanie wiary w solidność, w słowność polskiego dostawcy. Czym jest w handlu terminowość, o tym chyba zbędną rzeczą jest się rozwodzić.

2. Zawiedziony odbiorca będzie szukał solidniejszych źródeł zakupu. Skutek? Utrata rynków zbytu. A wiadomo, jak trudno jest w ogóle rynek zdobyć. Dostawca, ażeby dobrego klienta utrzymać, będzie eksportował przez pewien czas nawet ze stratą.

3. Brak rynków zbytu powali na łopatki cały przemysł zielarski i tylu tysiącom rodzin odbierze źródło zarobkowania. A że to źródło jest dość dochodowe, świadczy o tym fakt, że jedna z rodzin osadniczych na Mazurach w sezonie zdołała za zebrane zioła otrzymać 40.000 zł. gotówką i premię w cukrze.

Tak się podcina gałąź, na której się siedzi.

L. S.

Jak pracują oddziały „Społem"

Oddział powiatowy w Płocku

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem" w Płocku, ul. Nowa 4, powstał w marcu 1945 r. Obsługuje 35 spółdzielni różnego typu, istniejących na terenie powiatu, zatrudniając 80 pracowników.

Poza działem kolonialno - spożywczym Oddział prowadzi dział włókienniczy, dział artykułów rolniczych, hurtownie: soli, wyrobów tytoniowych, zapałek i wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego oraz składy: materiałów budowlanych i opałowych. Ponadto Oddział prowadzi magazyn konsygnacyjny towarów „UNRRA", i przerzuty zbożowe „UNRRA". Dział transportowy Oddziału dysponuje 5-ciu samochodami ciężarowymi, które dowożą spółdzielniom zakupione towary.

Obroty oddziału w 1946 roku osiągnęły kwotę 197 milionów złotych. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości 200 milionów złotych.

Magazyny pod względem ich pojemności są dostateczne i całkowicie odpowiadają dzisiejszym potrzebom Oddziału.

Sieć sklepów spółdzielczych jest wystarczająca, a współpraca Oddziału ze spółdzielniami jest dobra. Spółdzielnie odczuwają tylko brak kapitałów obrotowych i narzekają na szczupłe kredyty, co w dużym stopniu hamuje rozwój ich działalności.

Warunki transportowe są wyjątkowo trudne z powodu braku połączeń mostowych przez Wisłę.

Kierownikiem oddziału od marca 1946 r. jest p. Aleksander Oszast, pracujący w Spółdzielczości od 1918 roku, który w roku przyszłym święcić będzie 30-to lecie swojej na niwie spółdzielczości działalności. (a)

Do wszystkich placówek spółdzielczych

„Tydzień" wychodzi w każdy czwartek, tak, że powinien być na miejscu najpóźniej w sobotę.

W razie nie otrzymania pisma w terminie, prosimy natychmiast reklamować na poczcie, a ponadto zgłaszać reklamacje w naszej Administracji.

BAJECZKI
dla dużych dzieci

JANUSZ ODROWĄŻ

Rozmowa z duchami

Dopiero niedawno czytaliśmy w „Tygodniu" o wynalezieniu zaświatowego telefonu, a już w Warszawie odbył się pierwszy eksperyment, z udziałem przedstawicieli prasy.

W szczelnie zaciemnionym pokoju zebrało się nas czworo: telefoniczne medium, kolega z „Wieczoru", koleżanka z „Ekspressu" i ja.

Medium siedziało przy małej, tajemniczej centralce, a każde z nas trzymało zwykłą, ebonitową słuchawkę.

— Już jest sygnał — rzekło medium po chwili, która była o wiele krótsza od koniecznej na uzyskanie połączenia centrali Piusa z Pragą. — Kto z Państwa pierwszy?

— Ja — rzekła koleżanka z „Ekspressu", wybitna specjalistka od wzniosłych słów i udzielania kojących rad czytelnikom.

— Z kim Pani chce mówić?

— Z moim zmarłym mężem.

W słuchawkach naszych rozległo się urywane brzęczenie, a potem cichy głos:

— To ja.

— Ty, najdroższy?

— Tak, to ja, skarbie.

— Poznaję! Epokowe! Nadzwyczajne! Powiedz mi, mój kochany, jak ci jest na tamtym świecie? Czy lepiej, niż było na ziemi, ze mną?

— O wiele lepiej.

— Cieszę się bardzo! Więc ty jesteś w niebie!

— W niebie? Nie, ja jestem w piekle, żoneczko...

Ostatnie słowa powiedziane były jakby z lękiem, po czym biedny człowiek widocznie szybko odłożył słuchawkę.

Nasza koleżanka w ciemności nadrabiała miną, a tymczasem o połączenie poprosił kolega z „Wieczoru".

— Chcę mówić z prezesem W., który przez pół roku obiecywał mi informacje o podległym mu urzędzie, ciągle nie miał czasu, a w końcu umarł. Może teraz coś mi powie?

Nasze medium wezwało pana W. do aparatu.

— Chyba nie p a n a, lecz pana prezesa — dał się słyszeć obrażony głosik.

— Tak, pana prezesa W.

— Pan prezes zajęty. Proszę zadzwonić jutro.

— Ależ ja nie mogę jutro! — wtrącił się dziennikarz. — Dziś mam jedyną okazję! Proszę powiedzieć panu prezesowi moje nazwisko, może podejdzie.

Minęła chwila.

— Pan prezes nie może podejść. Kazał panu powiedzieć, że właśnie smażą go w smole za notoryczne spławianie interesantów.

Rozmowa była skończona.

Przyszła kolej na mnie. Nie bardzo wiedziałem z kim się połączyć, wreszcie przyszedł mi na myśl Antoś Pieczonka, z którym tak niedawno jeszcze popijałem na jego imieninach. Zatruł się wtedy, biedak, nieświeżym dorszem w pomidorach.

Medium w skupieniu poczęło go wzywać przez tubkę.

Ale mijały chwile i Antoś nie zgłaszał się jakoś. Pot wystąpił na czoło naszej duchowej telefonistki.

— Nie mogę go znaleźć... Nie mogę... Ani w niebie, ani w piekle... Gdzie on może być?

— W Warszawie — wyjaśniłem uprzejmie.

— Jeszcze nie pochowany?

— Jeszcze nie. Wprawdzie zatruł się kilka dni temu, ale już jest zdrów, jak koń i pewnie gdzieś popija.

Po tym wyjaśnieniu w słuchawce rozległy się jakieś trzaski i zabrzmiał głęboki głos:

— Tu Wszechświatowa Centrala Telefoniczna. Co za idiota chce się połączyć z żywym warszawiakiem? Przecież telefony w Warszawie są dla zwykłych śmiertelników niedostępne!

Wśród bardzo młodych

— Panie Józiu, a skąd pan Józio ma ten guz na głowie.

— To, panno Stasiu, przez piegi.

— Jakto przez piegi?

— A bo panna Stasia śmiała się z moich piegów. To ja spytałem jednego pana, co robić, żeby się tych piegów pozbyć. A ten pan powiedział „smaruj, chłopcze, wodą toaletową".

— No i co?

— No i, jak się do tej toaletowej wody schyliłem, to mi deska spadła na głowę...

Wśród jeszcze młodszych

Dwoje brzdąców przy aparacie radiowym. Słuchają pilnie pogadanki o dojeniu krów mlecznych. W pewnej chwili odczyt urywa się w pół zdania, następuje cisza.

Na to jeden z malców:

— A ja wiem, dokąd ten pan poszedł!



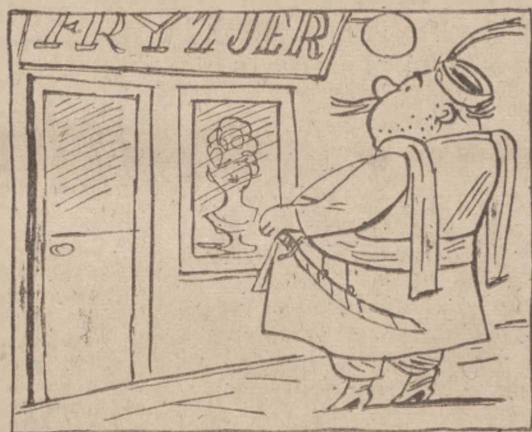
Rys. Jan Lenica

Indywidualista

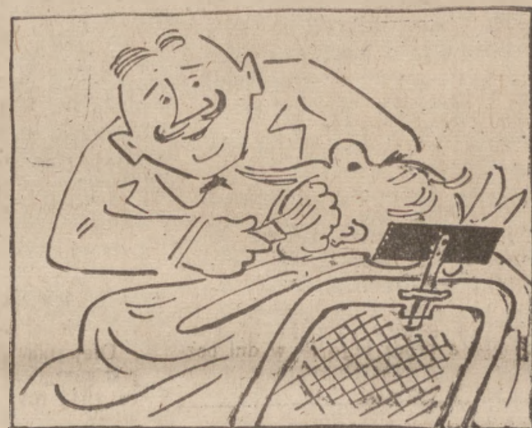
PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. Jerzy Zaruba

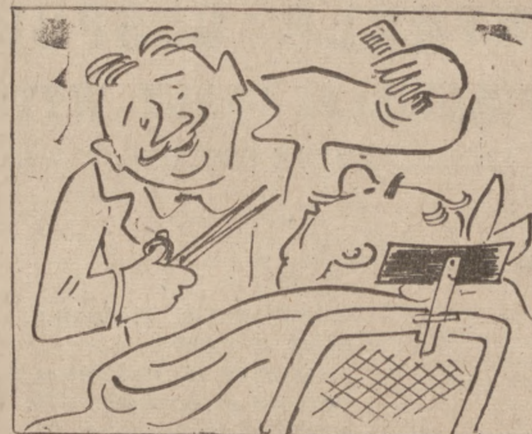
U fryzjera



— Warto by się ogolić, bo gęba zarośnięta paskudnie.



— Ostrzyc szanownego pana też? Mycie główki? Masaż twarzy? Kompresik?



— Brewki zrównać? Wągierki usunąć? Wąsiki przystrzyc? Trochę kremiku? Kolońska? Brylantynka? Puderek?



— Niech mnie psi zjedzą! Nie wiem, czym dobrze zrobił, żem się temu golarzowi nie sprzeciwiał...

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

CHŁODNIK jest ulubioną zupą w czasie letnich upałów i jedną ze specjalności polskich gospodyń. Przyrządzamy go w następujący sposób:

Pęczek młodej botwinki ugotować w osolonej wodzie — gdy ostygnie, pokrajać botwinkę dość drobno. Osobno ugotować duży burak i po ugotowaniu pokrajać go w kostkę. Ćwierć kilo usmażonej cielęciny, ćwierć kilo szynki, jeden ogórek, trochę szczypiorku — pokrajać również w kostkę, dodać burak i botwinkę oraz smak z ugotowanej botwinki. Wszystko razem wymieszać i zalać litrem zsiadłego mleka oraz pół litrem śmietany. Dodać trochę posiekanego koperku i 2 jaja ugotowane na twardo. Wstawić chłodnik do zimnej wody lub na lód.

●

NADZIEWANE KURCZAKI. Kurczaki są jeszcze młode i dość drogie. — Jest jednak nadzieja, że stanieją, gdyż drobiu mamy dużo i nie obowiązują nas co do niego ograniczenia w dni bezmięsne. Nadziewane kurczaki, t. zw. „po polsku", przyrządza się następująco: Ugotować szklankę mannej kaszki na wodzie z łyżeczką masła i soli. Kaszka powinna być gęsta. Kiedy ostygnie, dodajemy do niej pół namoczonej w wodzie i wyciśniętej bułeczki, jedno żółtko, koperek, surową, posiekaną wątróbkę i pianę z jednego jajka. Wymieszane nadzienie należy osolić i napełnić nim wnętrze kurcząt oraz skórę szyjek — następnie kurczęta zaszyć, osmażyć w brytwannie na maśle i piec w piecyku, często polewając, aby się nie wysuszyły. Kurczaki podaje się przekrajane na połówki, z sosem, pozostałym po upieczeniu.

●

KRUCHE BABECZKI z poziomkami, truskawkami, lub malinami. W najbliższych dniach wypada cała seria imienin: Jana, Janki, Wandy. Do solenizantów przyjdą z pewnością znajomi z życzeniami. Do herbaty trzeba coś podać, a ciastka cukiernicze są drogie, a prócz tego — w dni bezciastkowe w ogóle nieosiągalne. Zrobienie domowych babeczek w dniu imienin, nawet w dni „zakazane", powinno chyba uzyskać rozgrzeszenie? Jeżeli nasze czytelniczki zdecydują się na to małe... przekroczenie, radzimy skorzystać z następującego doskonałego przepisu: 15 dkg. masła, 5 dkg. cukru i 15 dkg. mąki zagniata się i odstawia na przeciąg godziny w zimnym miejscu. O ile ciasto jest za suche, można dodać łyżkę śmietany. Cienko wałkowanym ciastem wykładamy foremki i pieczemy na złoty kolor. Przed podaniem napełniamy je bitą śmietaną, zmieszaną z cukrem i poziomkami, truskawkami lub malinami. Zamiast śmietany można napełnić babeczki kremem, ubitym na parze z szklanki mleka, 2 żółtek, łyżeczki ziemniaczanej mąki i cukru. Gęsty ostudzony krem wkłada się do babeczek — do połowy, wypełniając resztę ocukrzonymi poziomkami, malinami albo truskawkami.



„Ballada rycerska"
Znakomita tancerka Ziuta Buczyńska odbywa obecnie tournée po większych miastach Polski.

IV KONKURS „TYGODNIA"
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

1 ______________________

2 ______________________

3 ______________________

Imię i nazwisko głosującego

____

Adres ______________________

wypełnić i przesłać do Redakcji „Tygodnia"

Z placówek spółdzielni „Społem"

Oddział powiatowy w Grodzisku

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem" w Grodzisku Mazowieckim, ul. Traugutta 1, powstał w marcu 1945 r.

Oddział zaopatruje w towary około 40 Spółdzielni, istniejących na terenie całego powiatu błońskiego i miasta wydzielonego —Żyrardowa, zatrudniając ogółem 70-ciu pracowników.

Dla miasta Żyradowa i najbliższych okolic Oddział prowadzi w tym miejscu składnicę towarów przy ulicy Browarnej nr 2. Ponadto istnieją w Żyrardowie i podlegają Oddziałowi w Grodzisku Mazowieckim składy konsygnacyjne towarów „UNRRA". Poza działem spożywczo - kolonialnym Oddział prowadzi w Grodzisku Mazowieckim hurtownie: soli, wyrobów tytoniowych i zapałek. W najbliższym czasie uruchomiona zostanie ponadto hurtownia wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego.

Obroty Oddziału w 1946 r. osiągnęły kwotę około 250 milionów złotych. Na rok bieżący preliminarz budżetowy Oddziału przewiduje wzrost obrotów do około 350 milionów złotych. Podkreślić należy że sumy te nie obejmują zupełnie handlu wyrobami Państwowego Monopolu Spirytusowego, którego Oddział do tej pory nie prowadził. Z chwilą zatem otwarcia hurtowni wódczanej preliminowane na rok bieżący obroty wzrosną przynajmniej o 30 do 40 proc.

Oddział obecnie mieści się na terenie i w budynkach Zakładów Chemicznych „Grodzisk", gdzie posiada odpowiednie pomieszczenia na biuro i magazyny, które w zupełności odpowiadają potrzebom Oddziału. Umowa dzierżawna na użytkowanie tych pomieszczeń wygasa jednak z końcem roku bieżącego. Toteż kierownictwo oddziału już teraz poszukuje do kupna odpowiedniego placu, w pobliżu toru kolejowego, na którym jeszcze w roku bieżącym trzeba będzie wybudować własne magazyny z bocznicą kolejową i odpowiednie pomieszczenie na lokal biurowy.

Sieć spółdzielni na terenie powiatu jest dostateczna, a ogólna ilość spółdzielczych sklepów absolutnie odpowiada dzisiejszym potrzebom ludności. Spółdzielnie na ogół pracują dobrze, zyskując uznanie konsumentów, którzy, doceniając należycie znaczenia handlu spółdzielczego, chętnie garną się do spółdzielczych szeregów.

Kierownikiem oddziału jest p. Witold Pieterwas. Człowiek młody, zdolny i energiczny, od 17-go roku życia przez lat dwanaście pracujący w spółdzielczości. Ostatnie swoje stanowisko zajmuje od czerwca 1946 r., prowadząc Oddział ku dalszemu jego rozwojowi. (a)

Olejarnia w Płocku

Olejarnia w Płocku, Nowy Rynek nr. 5, pod zarządem „Społem" pracuje od czerwca 1945 roku, zatrudniając 18-tu pracowników.

Zdolność przetwórcza Olejarni wynosi 6 ton surowca na dobę. Olejarnia jednak pracuje na jedną zmianę, przetwarzając na dobę 1.500 kg. surowca. Produkuje oleje rzepakowe (jadalne i oleje lniane) techniczne). W przyszłości projektowane jest rafinowanie olejów jadalnych. Jako uboczny produkt Olejarnia otrzymuje makuchy rzepakowe i lniane, chętnie nabywane przez okolicznych rolników, jako pasza treściwa dla bydła.

Obroty Olejarni w 1946 r. dały 30 milionów złotych. Na rok bieżący preliminowano je w kwocie około 100 milionów zł.

Placówka pracuje bez przerwy od września do maja każdego roku. W okresie lata przez 3 — 4 miesiące Olejarnia nie pracuje. Cała produkcja Olejarni idzie wyłącznie na potrzeby spółdzielczości.

Olejarnia posiada jeden samochód ciężarowy, który używany jest do rozwożenia odbiorcom produkowanych olejów.

Kierownictwo Olejarni od października 1946 roku spoczywa w ręku dyr. Zygmunta Bindera, pracującego w spółdzielczości na różnych stanowiskach od 1932 r. (a)

IV KONKURS „TYGODNIA"
na rozrywki umysłowe

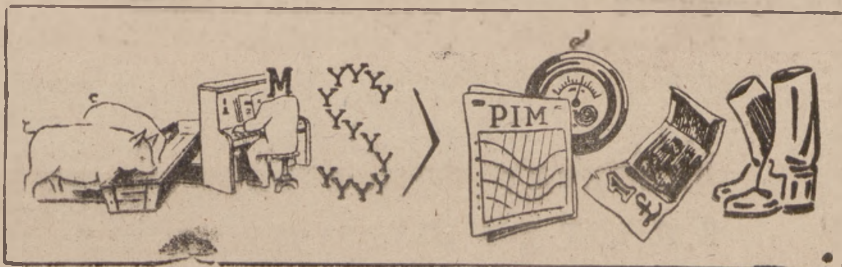
W dzisiejszym numerze kończymy czwarty konkurs, „Tygodnia" na rozrywki umysłowe. Przypominamy, że za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie.

Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Szpitalna 5 m. 8, do dnia 5 lipca b. r.

Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 książek i 20 prenumerat kwartalnych „Tygodnia".

Ponieważ konkurs połączony był z konkursem autorskim, przeto zamieszczamy dziś kupon, na którym każdy uczestnik konkursu powinien wskazać trzy najlepsze, jego zdaniem, zadania. Autorom wyróżnionym przez Czytelników przyznane będą nagrody książkowe.

Il. „Kazła"



TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY: Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr 1-4766
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
W kolorze — 50% drożej
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka" Warszawa, Smolna 12 B-34408

SZAFBOZA

W ubiegym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. Meczysław Zięba (Szamotuły, oddział „Społem") za nadesłanie wycinka z „Dziennika Zachodniego":

CUKIER NIE ZDROŻEJE

Jak się dowiadujemy ze źródeł miarodajnych rozszerzane od dłuższego czasu pogłoski, jakoby cena cukru miała uleo znacznemu zwiększeniu, są zupełnie fałszywe. Wersje te rozpuszczają jedynie czynniki spekulacyjne i aspołeczne. Chwilowy brak cukru na rynku był wywołany nieprzewidzianą zwyżką podaży w kwietniu, w którym sprzedano 14 tysięcy ton, podczas gdy w styczniu i w lutym rozprowadzono po dwa tysiące ton, zaś w okresie świątecznym, w marcu — 12 tysięcy ton. („Dziennik Zachodni" z dn. 13.5.1947).

Im większa podaż, tym większy brak i tym wyższa cena. Im mniejsza podaż, tym mniejszy brak i tym niższa cena. Idealna gospodarka cukrem nastąpi wówczas, gdy go wcale nie będzie.

WOJENKO, WOJENKO!

Na wschód od Mińska Rosjanie wycofali się, mając nadzieję, że uda im się na flance zaskoczyć posuwające się oddziały rosyjskie. Zamiast tego jednak sami się dostali w pułapkę, a siły ich zostały odcięte przez inne armie białorosyjskie (z książki pt. „Druga wojna światowa, str. 332).

Zapewne chodzi tutaj o jakiś udział własowców po stronie niemieckiej. Ale trzeba to sformułować po ludzku. Od książek wymaga się poprawności absolutnej. Czytelnik dość ma najprzeróżniejszych byków w prasie codziennej.

KRYZYS BĘDZIE ZAŻEGNANY

Obecnemu kryzysowi są Niemcy sami winni. Właściciele ziemscy wolą zachowane jeszcze rezerwy żywnościowe dać bydłu i trzodzie chlewnej, niż miastom. Jest to najwyższy objaw braku solidarności, bowiem w większych skupiskach ludzkich urządza się demonstracje głodowe, podczas gdy w tej samej strefie znajduje się 2.600.000 świń. („Głos Wielkopolski" Nr 131).

Miejmy nadzieję, że Niemcy usłyszą wołanie „Głosu Wielkopolskiego", piętnujące ich brak solidarności, opamiętają się i zjedzą 2.600.000 dobrze utuczonych świń.

DEKORACJA ZASŁUŻONYCH KOBIET

W powiecie włocławskim odbyła się uroczysta dekoracja Krzyżami Zasługi kobiet oraz matek działaczek, zasłużonych w pracy konspiracyjnej w okresie okupacji, które poszczycić się mogą licznym potomstwem. („Życie Warszawy" Nr 98).

Wprawdzie praca nad wydawaniem potomstwa odbywa się również w pewnym sensie konspiracyjnie, tj. nie na oczach ludzkich, ale myśmy przez konspirację okupacyjną przywykli rozumieć co innego.

UŚMIECHNIJ SIĘ

Stasiak po przegranej walce schował się pod ring i szlochał przez pół godziny, bo stracił przez sędziów tytuł mistrza Polski. Łzy Stasiaka padały na jego zmęczone ręce. Łzy Stasiaka, alegorycznie mówiąc, padały na sumienie sędziów bokserskich. Łzy Stasiaka biły na alarm. Stasiak płakał nie tyle może nad swoim losem, ile nad losem naszych sędziów bokserskich i nad ogólnym poziomem pięściarstwa w Polsce („Dziennik Łódzki" z dn. 15.4.47).

I nad stanem dzisiejszym sportu, i nad upadkiem kultury, i nad zdziczeniem powojennym, i nad ogólnym poziomem dziennikarstwa... Ale co tam, Stasiak! Nie płacz. Posłuchaj rady poety: „Łez twoich szkoda, na te łzy gorzkie jeszcześ za młody! Otrzyj swe oczy — świat tak uroczy, na niebie jasna pogoda!"

Słowik chińskiego cesarza

Stefania Grodzieńska

(według Andersena)

Nawet małe dziecko wie, że Chińczyków jest do licha i trochę, nic więc dziwnego, że przed reformą panował tam cesarz, bo nikt inny nie dałby sobie rady z taką kupą ludzi. Weźmy chociażby Polskę. O ile nas jest mniej, niż Chińczyków, a też znowu nie tak łatwo. Ale wróćmy do cesarza.

Po zlikwidowaniu chińskiego Ministerstwa Informacji i Propagandy cesarz sam zaczął rozmyślać nad atrakcjami, które by ściągnęły do Chin pożądanych ze względów dewizowych cudzoziemców. Nie było to łatwe, gdyż Chiny, jak wiadomo, leżą na końcu świata. Wreszcie atrakcję taką znalazł.

W owym czasie żył w Chinach słowik, który objeżdżał kraj z



Cesarz podrapał się pod warkoczem i powiedział...

koncertami. Słowik nieźle miał w głowie i umiał sobie robić reklamę, śpiewając od czasu do czasu za darmo na dachu samochodu. Właśnie na taki koncert natrafił raz cesarz. Tłumy otaczały słowika i wiwatowały na jego cześć, a słowik darł się: „Jestem chłopak z Nankinu! Swój słowik jestem!" I zaśpiewał na bis ludową chińską piosenkę:

„Ni-non, ach uśmiechnij się" Cesarz podrapał się pod warkoczem i powiedział do swego mistrza chińskich ceremonii:

— Mój drogi Bi-Ba-Bo, zaangażuj go na występy w pałacu. We wtorek przyjeżdża wycieczka czeskich literatów, trzeba im pokazać coś odpowiedzialnego.

Bi-Ba-Bo włożył sztuczkowe kimono, wsiadł na łebka do lektyki i pojechał do słowika, któremu wyłuszczył propozycję cesarza.

— Ile? — zapytał słowik.

— Słucham? — zdziwił się Bi-Ba-Bo.

— Co pan słucha? Po chińsku pan nie rozumie, czy co? Pytam się do jasnej dżumy azjatyckiej, ile stary wybuli.

— Nasz miłościwy władca nie skrzywdzi swego artysty — rzekł z godnością Bi-Ba-Bo.

— Ta, ta, ta. Lubię takie kontrakty! Zaśpiewam, potem zapłaci w krajowej walucie co kot napłakał i mądry Chińczyk po szkodzie.

Po dłuższych targach słowik zgodził się jednak i przybył na występ do pałacu. Rzeczywiście zrobił furorę i cesarz nie żałował dolarów, którymi hojnie wynagrodził słowika, a nawet przedłużył mu kontrakt.

Aż pewnego dnia otrzymał cesarz pakunek, a w nim sztucznego słowika. Po nakręceniu słowik śpiewał „Aj, aj, aj" i „Szumią jodły", Cały dwór tak się zajął zabawką, że nikt nie zauważył, jak żywy ptaszek wziął paszport zagraniczny i wizy, i wyleciał do Ameryki.

Cesarz szalał za nowym słowikiem i nastawiał go raz po raz. Jednak po jakimś czasie zrozumiał różnicę między sztucznym mechanizmem, a żywym ptakiem, chociaż repertuar mieli oni ten sam. Zatęsknił za okrzykami, tak bardzo ożywiającymi występy leśnego śpiewaka: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej! Ja tylko w Chinach! Ja swój słowik z Nankinu!"

Wreszcie na łożu śmierci cesarz polecił wezwać słowika, aby ten mu uprzyjemnił śmierć swym cudownym śpiewem. Nie czekał długo na odpowiedź. Słodki ptak opublikował w prasie:

„Otrzymałem
wezwanie
miłościwego
cesarza.
Przyjechać
nie
mogę,
ale
myślą
jestem
z
wami.
Niech
Cesarz
czeka
ze
śmiercią
bo
za
parę
miesięcy
ujrzycie
mnie
na
filmie.
Wasz
słowik".

Bo w Chinach pisze się z góry na dół.

Piekielny i wspaniały obraz



Wulkan Hekla znów czynny. Jest to największy wybuch od roku 1864-go



— Uważaj najdroższy! Patrz jaki piękny płaszcz na futrze!

(„Les Lettres Françaises — Paryż)

TYDZIEŃ

NASTĘPNY NUMER POŚWIĘCONY BĘDZIE SPRAWOM POLSKIEGO MORZA I WYBRZEŻA